



CZARNA PERŁKA.

POWIEŚĆ

PRZEZ B. BOLESŁAWITĘ.

(DOKOŃCZENIE)

13



o? a Lord? — szepnęła Laura.

— Lord? ale czemu ja dla niego jestem, a on dla mnie? Dobrymi znajomymi, których się mile wspomina...

— On się szalenie kocha...

— We mnie! w cyganie! w córce włóczęgi! — potrząsała głową. — A! nie, droga pani, to być nie może! Ta miłość byłaby obelgą dla mnie, bo wieczną i uprawnioną być nie może, a z mej strony ja jej ustępstw nie uczynię... Kochanką niczyją być nie chcę, niczyją żoną nie mogę... zostanę sama...

Laura popatrzała na nią i znalazła ją cudnie piękną w tym zapale... i ożywieniu z czarnymi oczyma ognistymi, z pod których perłowe, prawdziwie cygańskie świeciły ząbki...

— Sama!! dziecko moje! — westchnęła Laura — tak mówi zuchwałość, młodość, czując w sobie siły do życia... ale przejdą lata... ostygniesz, zmienisz przekonania i przebłagać się dasz kiedyś... Niestety! patrz, aby to nie było zapóźno...

— Ja się nie zmienię, bo mój los zmienić się nie może — szepnęła Lenora. — Nie mówmy o rzeczach smutnych... Laura korzystając z wyrażonego życzenia, poczęła się trzepotać, paplać, śmiać, opowiadać i tak przedłużyła rozmowę do ostateczności, bo gdy spojrzała na zegarek, była już godzina obiadowa. Wybiegła więc biorąc dla pospiechu doróżkę do domu, bo spalony i zepsuty obiad był dla niej wielką klęską... jedzenie i paplanie tylko ją już na świetcie utrzymywało.

Ale w księdze przeznaczeń napisanem było, że tego dnia obiad będzie jadła przegotowany, pieczone spalone i leguminę opadłą... w domu bowiem, w chwili gdy wchodziła, nawinął się Lord, który właśnie ze smutną twarzą nie zastawszy jej miał odejść. Nie prosić go na chwilę, było niegrzecznością. Usiadła na kanapie w nadziei, iż nie długo zabawi, a że Lord wszystko, co czynił, robił powoli, rozważnie, nie spiesząc się, obrachowanie, rozmowa poczęła się bez żadnego względu na porę obiadową.

— Zgaduję, czemu winnam odwiedziły hrabiego — zaśmiała się gospodyni — pewnie już wiecie o powrocie tej mojej heroiny, kochanej Lenorki, od której ja właśnie powracam... nieprawdaż?

— Przyznaję, że o tem słyszałam, i nie będę tała, że to przyspieszyło w istocie moją bytność u pani...

— Otóż to taką szczerą ja lubię — odparła Laura — Prawda? ciekawi jesteście losu tej biedaczki? Wróciła zbiedzona, znękana, opalona trochę, ale piękniejsza niż kiedykolwiek była... a duszą i sercem zachwycająca.

Lord nic nie odpowiedział, patrzył na dno kapelusza. Po chwili milczenia odezwał się spokojnie:

— Kiedyż będziemy mieli szczęście ją oglądać?

Laura westchnęła.

— A! mój drogi hrabio — rzekła — to właśnie najboleśniejsze, że ona ma mocne postanowienie całkiem się od świata usunąć... że chce... no! nie wiem właściwie, co z sobą

pocznie, ale mi wręcz na zaprosiny odpowiedziała, iż bywać nigdzie nie myśli, że musi zerwać... Que voulez vous, zna swe nieszczęśliwe położenie, ma swą dumkę i wie, że w świecie naszym nic ją nie czeka nad walkę i upokorzenie.

— Nie rozumiem tego — przerwał Lord stanowczo — żyjemy w XIX. w., dziś nikt o nic więcej oprócz wychowania nie pyta... król Bawarski...

— A! tak, mój hrabio, królom i książętom wszystko wolno... jednakże... trzeba przyznać, iż u nas zwłaszcza wiele się jeszcze zważa na pochodzenie, imię... antécédens... Juściż, kochany hrabio, Lenora przy całej swej wyższości, talentach, wdzięku, rozumie, nie może się spodziewać, aby się z nią kto godzien jej ożenił.

— Dlaczego? — spytał Lord...

— Ale, mój Boże! na cóż to ukrywać, co wiedzą wszyscy? Lenora jest córką cygana... włóczęgi. Ojciec jej żyje...

Hrabia począł patrzeć w kapelusz...

— Tak, to prawda, — rzekł — a pomimo to jednak panna Lenora jest tak uroczą, że gdyby w kim miłość wzbudziła, możeby na to wszystko nie zważał, jeźliby wiedział, że jej serce pozyskał...

Laura spojrziała na poważnego młodego człowieka, który zwolna dobył angielski chronometr z kieszeni, popatrzał nań, schował nazad i rzekł powoli...

— Panna Lenora jest zachwycającą istotą!

— A qui le dites vous? Ja to wiem najlepiej — poczęła żywo Laura — ja, co ją znam lepiej niż wszyscy, ja, co czytam w jej sercu... dla której ona nie ma tajemnic. A! tak to istota zachwycająca!

— Niechże pani, co z nią jesteś tak blisko, stara się ją odwieść od rozpaczliwego kroku... od tego wyrzeczenia się przyszłości lub — ucieczki z kraju...

— Z pewnością starać się o to będę, ale ona ma charakteru wiele, a jeśli chcecie — uporę...

— Przyjaźń go przelamać powinna...

To mówiąc Lord jeszcze raz na zegarek spojrział. Laura myślała, że nareszcie zlituje się nad jej obiadem, ale znać roztargniony patrzył na chronometr nie widząc godziny, i znowu, jakby się wahał z wypowiedzeniem myśli, siadł dodając zwolna:

— Ja sądzę, że to są chwilowych wrażeń skutki, znużenie, zwątpienie... które przejść powinno, gdy przemówi głos przyjaźni...

— Zdaje mi się — przerwała Laura — że gdybyś hrabio przybył mi w pomoc, może byśmy zwyciężyli...

— Ja najchętniej — odezwał się hrabia — ale gdzież pannę Lenorę spotkać mogę? Pod wszystkimi względami nie wypada mi narzucać się jej z odwiedzinami... Czy mogę mieć nadzieję, że ją tu kiedy znajdę?

— Niestety! nie wiem... odmówiła mi — westchnęła Laura...

— Wiesz pani co? — rzekł po namyśle hrabia — nie trzeba zbyt gwałtownie opierać się jej zrazu... Musimy użyć podstępów... Powiedz jej pani, że wcale nie przeciwisz się temu postanowieniu zerwania ze światem, ależ przecie raz, jeden raz, wieczorem u pani być może, aby swych dawnych znajomych i przyjaciół pożegnać. Ten jeden raz nie odmówi nam bytności swojej... Zbierzemy się w szczupłym gronie może, ale najżyczliwszych, a rachuję na wrażenie tego wieczora, na serdeczne wyrazy, które usłyszysz... że się w postanowieniu zachwieje.

Laura aż uderzyła w ręce z radości.

— Przecudowna myśl! — rzekła — ale mnie musisz hrabio autorstwa jej odstąpić, ja ją przysposobię za własną... i... spróbujemy...

Laura była pewną, że tym razem już Lord jej da zjeść szczątki obiadu, ale on uśmiechnął się poważnie i odezwał:

— Uczyni pani z myślą moją, co się jej podoba, zredaguj ją jeniałnie, zmień w czyn... byle ona wpłynęła na zachowanie towarzystwu naszemu osoby, bez której ono osierococone zostanie... Będę oczekiwał na rozkazy pani i niecierpliwie wyglądał tego wieczora, który o losach naszych rozstrzygnie.

To mówiąc pożegnał nareszcie gospodynię. Stefcia czekała we drzwiach na skinienie, by kazać zupę podawać... Obiad był zły... Laura nieszczęśliwa, ale pochwycona kosztem jego rozmowa pełna znaczenia, wyrazy Lorda, pod którymi domyśleć się godziło mnóstwa rzeczy, pocieszała ją tak dalece, że nawet nie narzekała na swą niedolę. Chciała jak najprędzej powtórzyć Lenorze, co o niej mówił hrabia, i była pewną, że teraz musi ona zmienić postanowienie. Wedle niej bowiem, to co milczący hrabia wypowiedział, znaczyło prawie tyle, co formalne oświadczenie się o rękę sieroty...

Sama ta myśl, że tak wielkie a niespodziane szczęście spotkać mogło cygankę, a że do dokonania tego cudu ona się przyczynić miała, paliła ją jak ogniem. Niedokończywszy deseru, nie popłókawszy zębów, narzuciła szal... nie było chwili do stracenia... Niosła z sobą... szczęście! cud! niepojętego coś, niezrozumiałego, olbrzymiego; czuła, że jej wyrazów braknąć będzie na wypowiedzenie... tej niesłychanej nowiny. Lenora nie spodziewając się już wcale dnia tego drugich odwiedzin, niepomału była zdziwiona, gdy ją wśród jakiegoś pakowania czy rozpakowywania sukien i bielizny, napadła piorunowo zjawiająca się w progu Laura.

— A! kochanie moje! — zawołała — przynoszę z sobą... daj mi odetchnąć... ach! przychodzę z dziwnymi rzeczami... Zobaczysz...

Upadła na fotel... Nie mogąc mówić, ledwie dyszę, tak nieuważnie biegłam, żeby ci zwiastować niezmiernie ciekawą i ważną wieść... Ale zaraz, niech spocznę...

Cóż to... ty się widzę pakujesz czy co?

— Ja?... zarumieniła się Lenora — nie... porządkuje...

— Ten tłumoczek...

— To... z drogi... nieśmiało odpowiedziała gospodyni—
Ale cóż mi kochana pani przynosisz?..

— Czekaj, niech zbiorę myśli, ażebym się nie poplątała... Czasem, gdy się bardzo spieszę, zaczynam od końca... a chciałabym bardzo dokładnie ci opowiedzieć wszystko! Rzecz niezmiernej wagi! Mówię ci! coś cudownego! Miałam tylko co rozmowę z Lordem. — Rumieniec wystąpił na twarz Lenory... i ręka, w której trzymała suknię, zadrżała.

— Wystaw sobie, ledwie się dowiedział, żeś powróciła, przyleciał do mnie. Przyznał mi się otwarcie, że go nie co innego sprowadzało... Pragnął zaraz cię widzieć u mnie. Naturalnie odpowiedziałam mu, że mało mam nadziei, ażebyś nas uszczęśliwiła swą bytnością, bo się chcesz od świata zupełnie usunąć. Jak to posłyszał, zaprotestował... Ja tedy myślę sobie, wybadam cię, kochanku. Zaczęłam mu tłumaczyć, że inaczej postąpić nie możesz, że czujesz swą wartość, a wiesz, iż cię w tym świecie dla głupich nie ocenią przesądów... Od słowa do słowa przyszło do tego, że powiedziałam, iż koniec końcem nikt się nie ożeni z cyganką. Na to Lord, uważaj tylko, moja droga, co to ma za znaczenie w ustach człowieka takiego jak on— na to Lord... to są jego własne słowa... słuchaj!! na to Lord—jak ciebie kocham, powiedział najwyraźniej—panna Lenora jest tak uroczą (c'est son expression), że gdyby w kim miłość wzbudziła, a mógł być pewien, że serce pozyskał... na nicby wówczas nie zważał... Rozumiesz co to znaczy? — rzekła tryumfująco Laura...

Lenora stała przed nią zarumieniona lecz smutna.

— Droga pani, rozumiem!! rozumiem!—odezwała się— to znaczy, że w chwili szału znalazłby się człowiek, któryby dla dogodzenia namiętności zamknął oczy na następstwa, ale potem?.. Gdy świat by mu począł rzucać szyderstwa w pierś ostygła, gdy dzieci jego zaczęłyby poeichu zwać cyganami, gdy w towarzystwie zazdrość jednych, obrażona duma drugich, poczęłyby dręczyć jego żonę... gdy on sam co chwila spotykałby po drodze ironią, dwuznaczne słowa... gdy tę miłość dla istoty odrzuconej przyszedłoby mu opłacać codzienną męczarnią!... ileżby razy pożałował! Wystawcie sobie los tej kobiety czującej, że jest kulą u nogi tego, któremu by szczęście przynieść chciała!... A! pani droga! tylko zaślepienie i egoizm mogłyby kobietę pchnąć w taką przepaść nieszczęścia... nieszczęścia tylu istot... drogich.

Zakryła oczy rękami...

Laura słuchała i nie wiedziała, co ma odpowiedzieć, czuła, że Lenora widziała jasno, że sądziła zdrowo... że zbić jej argumentów było niepodobna; zwróciła się więc zrzęcznie tylko ku podanej sobie myśli ostatniego wieczora

pożegnania, i poczęła przypuszczać szturm niezwłocznie przechodząc do tego przedmiotu.

— Wiesz co — rzekła — zrobisz, jak ci się podoba, ja w tej chwili, gdy ty jesteś podrażniona, zniechęcona, zboląła, nie będę z tobą się rozprawić... Nie chcesz nas?? bolejemy, ale cię zmusić nie możemy; ja proszę o jedno... o wieczór tylko pożegnania... o pokazanie się raz u mnie! Przecież to nie pociąga za sobą żadnych obowiązków; tyle razy ocierałaś się o nas i nic ci się nie stało... Daj nam jeden wieczór...

— Chcesz pani, bym boleśniej po tem czuła rozstanie— spytała Lenora.

— Nie, chcę byś się przekonała, że my ci dobrze życzymy i kochamy... a może kiedyś nawrócona, ostygła... wrócisz do nas jeszcze... Ja proszę jako dowód przyjaźni, o jeden wieczór.

— A! droga pani moja — odezwała się Lenora — czyż godzi się, byś ty prosiła o to, o co ja chyba powinnabym się domagać!

I pospieszyła uściskać ją...

— Więc przyjdiesz?

— Tak! pożegnać was; ale jeszcze jeden mały warunek! Proszę, nie ogłaszajcie, nie mówcie nikomu, że to jest rozstanie i pożeganie... Byłoby mi przykro stać jak pod pręgierzem i żebrać współczucia...

— Ale nikt, nikt o niczém wiedzieć nie będzie! ręczę, oprócz hrabiego, który już wie o twem postanowieniu — Chwilę zamyśliła się Laura.

— A zatem... proszę cię na piątek na herbatę i rachuję na ciebie. Spraszać wiele osób nie będę... nie chcę ci robić subjekeyi, bądź spokojną...

Uścisnęły się jeszcze, i pani Laura zamyślona, zdziwiona nieco niepowodzeniem poselstwa... odeszła.

Kto znał dawniej Warszawę — o terażniejszej mowy już nie ma — wie, jakie w niej tętniało życie, jak każdy wypadek ważniejszy, ukazanie się ciekawej postaci, młodego talentu, zajmującego pod jakimkolwiek względem człowieka, rozbudzało wszystkich i wprawiało w pewien rodzaj gorączki; jak się dobijano, aby być u Łuszczewskich, u pana Leona, gdy ktoś przybycie cudzoziemca, znakomitości lub choćby ekscentryka zwiastował. W teatrze na przedstawienie artysty, w resursach na uczyty wesołe dawane na cześć przybyłych, docisnąć się nie było można. Miasto potrzebowało żyć i szukało karmi cheiwie. Tak samo po domach prywatnych, gdzie kogoś zobaczyć, pomówić z kimś było można, goście proszeni, wpraszać się i nie proszeni napływali...

Mimo zajęcia polityką, z wieczorem piątkowym Laury inaczej też być nie mogło, wygadał się ten i ów, że ostatni raz ma się na nim ukazać owa oryginalna wycho-

wanka wojewodziny, że to jest wieczór pożegnalny, bo ona świat opuszcza... Dodawano, że ma być magnat węgierski w stroju narodowym; że Lenora da się słyszeć na fortepianie, że zgotowano jakąś niespodziewankę, słowem we środę już Laura była obleżona. Napróżno się wymawiała tem, iż dała słowo, że nie będzie prosić nad kilka osób, każdy chciał być wyjątkiem, używano protekcji, weiskano się pochlebstwy, i obliczywszy spodziewanych gości przestraszona gospodyni postrzegła, że jej zaledwie starczy salonu, filiżanek i krzesielek...

Ale za to wieczór robił po Warszawie ogromną sensacją; we czwartek już spotykając się w ulicy pytali wszyscy jedni drugich: Będiesz u pani Laury? i kto na piątek miał zamówione małe kółko znajomych, musiał przyjęcie na inny dzień odłożyć. Lenora wcale o tem nie wiedziała. Gospodyni trochę niespokojna spodziewała się przed nią wytłumaczyć, a pokusie oprzeć się nie potrafiła, boć miło to zawsze, gdy o domu i pani jego tydzień jaki próżnujący rozmawiają.

Na parę godzin przed otwarciem salonu wszystko było w porządku, filiżanek i krzeseł dopożyczono, dwóch lokajów w białych perkalowych rękawiczkach do roznoszenia herbaty najęto, wszystkie lichtarze domowe były w rekwiżycyi, dwa ogromne torty stały na stoliku, i panna Stefania zmęczona przystępowała do toalety... O ósmej już w salonie siedziało osób parę, a salon zdrajca miał fizyognomią święteczną. Nie przewidując takiej exhibicyi Lonora przysła znowu w sukni czarnej, z jedną kamelią we włosach, smutna, dosyć roztargniona i zakłopotana... Wszyscy ją otoczyli natychmiast... a że goście coraz przybywali tłumniej, nie postrzegła, się jak salon zapełnił. Zmieszana liczbą osób niezwykłą, rzuciła błagający wzrok na gospodynię, ale ta zrozumiawszy ją nadbiegła i zakłęła się, że nie prosiła nikogo... a cóż miała począć z natrętami?

Nadszedł wreszcie hrabia i zaledwie przywitawszy Laurą i kilka osób, z widocznym pospiechem zbliżył się do Lenory, co wszyscy uważali. Uważano także rumieniec na bladej jej twarzy, i to, że Lord utkwiał przy pięknej cygance... Rozmowa rozpoczęła się natychmiast, z jej strony bardzo ostrożna i chłodna, z jego niezwykajnie jakoś natarczywa. Kto nie mógł dosłyszeć jej, zgadywał z wejrzeń i ruchów... Byli tacy, którzy ją sobie w pamięci stenografowali z taką trafnością, jak O. Kircher przed Champolionem czytał hieroglify.

— Nastraszyłaś nas pani nie pomału — odezwał się hrabia — swym wyjazdem niespodzianym i excentrycznym; ale nareszcie mamy panią znowu i tą razą nie puścimy... Nie śmiem pani pytać o przygody podróży, ale podobno nie zbywało na nich...

— Pojmiesz hrabia, że się z tych familijnych smutków i przygód trudno spowiadać — odparła Lenora.

— Ale to są już tempi passati! — dodał Lord.

— Są jednak wspomnienia, co nie przechodzą, i losy, które się powtarzają...

— Mówiła mi pani Laura... że pani—począł otwarcie—tak masz złe wyobrażenie o świecie naszym, iż zamierzasz... porzucić nas samych?

— Wątpię, by się to komu uczyć dało...

— Przepraszam panią; tłum nam nie zabraknie, ani liku osób, ale wybranych...

— Hrabio! nie należy zawracać biednej kobiecie głowy pochlebstwem.

— Nie pochlebiam nigdy...

— Jesteś więc nadto a nadto łaskawym.

— Sprawiedliwym!!

— Oszczędź hrabio mnie... to mi czyni przykrość. Każdy z nas najlepiej zna siebie, a jeżeli sumiennym jest, pochwały go bołą jak wyrzuty.

— Pomimo to ja nie mogę znieść, bym się z panią nie pokłócił—rzekł Lord—przyznaję się, że po to umyślnie tu przyszedłem. Bądź pani ze mną otwartą, jestem szczerym jej przyjacielem, wielbicielem... Na co nam grozisz tem, że chcesz zerwać z nami?

— Dobrze, bądźmy szczerzy, panie hrabio; powiedz mi więc, dlaczego wymagacie po mnie ofiary życia, spokoju, swobody dla waszej zabawy i przyjemności? Przypuszczam, jeżeli każesz hrabia, że miło wam posłyszeć moje granie, że rozrywam rozmowę, że wypełniam jakąś próżnię w salonie; i czyż godzi się, byście mnie skazywali na ten żywot bawicielki i monsterka? Temi biednymi talentami nie potrafię nic zyskać nad oklask chwilowy... chłodny, który rozbrzmi i rozejdzie się prędko... Chcecie więc zabić mnie na ofiarę?

— Nie, kochana pani — przerwał Lord — zdaje mi się, że nie dla talentów i uroku chcemy cię posiadać, cenim twój charakter, umysł... widzimy w tobie istotę wyższą, jakiej naszemu społeczeństwu braknie...

— Zawsze monsterko! — odparła Lenora. — Jestem gościnnie przyjętą a obcą... nie mam i nie mogę mieć rodziny... a pewną jestem zazdrośnych i nieprzyjaciół. Ale przerwijmy tę rozmowę—dodała z uśmiechem—miarkujesz hrabio, że nie mogę się bronić nie tykając wielu rzeczy, którychbym poruszyć nie chciała...

— Jestem posłuszny, milczę — skłonił się hrabia — ale pozwól mnie pani zapytać się szczerze, czy postanowienie, o którym mówi pani Laura, jest stanowcze i niezmienne?

— Po długiej rozwadze i namyśle je powzięłam, i mam niewzruszoną wolę usunąć się... gdzieś w cichy kątek... zniknąć z oczów ludzi.

— Przepraszam panią, będę zmuszony znowu o pierwszy przedmiot zaczepić. Niepodobiestwem jest, byś pani została pustelnicą... musisz żyć z ludźmi; czy sądzisz, że w innych towarzystwa sferach ludzie są wyrozumialsii,

skłonniejsi do przyjęcia, do oddania serca i wcielenia obcego kogoś w swą rodzinę? Mylisz się pani, zdaje mi się, demokracja jest w słowach wiele obiecującą... ale sama wyższość pani nie dopuści, by cię tam przyjęto na stopie równości, gdzie umysłem górować będziesz...

Lenora zamilkła, uśmiechnęła się tajemniczo i rzekła:

— Czy między pustynią, wielkiem światem i ludem... nie ma już na świecie kątką, gdzieby sierota bez rodziny rodziną znalazła?...

— Masz więc pani już coś obmyślonego? — spytał Lord.

— Być może.. zagadkowo szepnęła Lenora usiłując przerwać rozmowę. Nie było wszakże łatwym pozbyć się hrabiego, który z niezmierną grzecznością, ale z niemniejszym uporem krok w krok ją ścigał, czekał, gdy z kim rozmawiała, milczał chwilę, ale starał się nie stracić jej z oka i być ciągle w jej otoczeniu.

Wszyscy zaczęli ją prosić, by grała... nie mogła się oprzeć. Podeszła do fortepianu, zdjęła rękawiczki, usiadła, a że wybór był jej zostawiony, z wielką trafnością, nie chcąc się wydać ze smutnem uosobieniem, nie życząc sobie żadnych sentymentalnych pożegnań, poczęła owego Chopenowskiego poloneza (a dur), który zdaje się napisany, by umarłych cienie z grobu wywołał...

Jest w tym tańcu wojennym, szablistym, kontuszowym coś tak poruszającego, tak elektryzującego, że kto nie poczuje się nim wstrząśniętym do głębi, nie ma w sobie kropli krwi polskiej. Jestto poemat przeszłości, dziki, butny, porywający, szorstki a niesłuchanie patetyczny... Ze wszystkich polonezów Chopina ten może najjaśniej przemawia do serca... Jest w nim pieśń wojenna, pochód weselny, coś pijanego i dumnego, a coś razem tak szlachetnego i wielkiego, że dzisiejsze pokolenie czuje się upokorzone i drobne, gdy go słucha. Mimo różności i wesela... w końcu łąą skończyć go trzeba...

Lenora grała go z ogniem, pasją, z brawurą niesłychaną, tak jak on być granym powinien... Gdy skończyła... milczenie panowało w salonie... zdało się, że ktoś krzyknął: Do broni!

Chciała wstać po nim, ale fortepian otoczono, nie dano jej odejść, modlono o więcej; wybór był trudny... Serce pragnęło czegoś rzewnego, rozum nie pozwalał kwilić na pożegnanie... Po namyśle godząc wymagania jednego i drugiego, zagrała sonatę Beethovenowską, co się poczyna bezdenną rozpaczą i zwątpieniem dogorywającym, a kończy wybuchem namiętym i ognistym... tę, którą pospolicie zowią sonatą księżycową... (Clair de Lune). W tej muzyce przynajmniej myśl ukryta była tak głęboko, że jej pospolity słuchacz nie zrozumiał, a serce mogło się całe wyśpiewać.

Z ostatnim akordem wstała tak nie odwołalnie chwytając za rękawiczki, była tak zmęczoną i bladą, że jej

już nikt nie śmiał prosić o nic więcej. Lord czatował przy fortepianie, aby odchodzącą pochwycić. Godzina była już dosyć spóźniona.

— Grałaś pani cudownie, ale ją to wiele kosztować musiało... rzekł wzruszony... lękam się byś nam pani nie uciekła, a bądź co bądź... jak o łaskę największą śmiem jeszcze prosić o chwilę rozmowy...

Lenora spojrzała nań i pobladła, poczęli chodzić po salonie.

— Nie mamy tajemnic — odpowiedziała Lenora.

— Pani nie, ja — może!

Szli chwilę razem milczący... stanęli w progu drugiego pokoju, który stosunkowo był daleko mniej przepełniony.

— Tu chłodniej — odezwał się hrabia i postąpił krok naprzód, Lenora zawahała się, ale nie chciała okazać mu obawy ani nieufności — weszła...

— Pani — rzekł pospiesznie hrabia z widocznym niepokojem... przebac mi, że w miejscu i chwili niestosownej odezwę się niewłaściwie, nieprzyzwoicie; nie mam wyboru... muszę...

— Hrabia z góry możesz być pewnym, iż mu nic za złe nie wezmę...

— Nawet, nawet gdybym tu, lękając się pani stracić, oświadczył jej, że mam dla niej więcej niż najwyższy szacunek, więcej niż najgorętszą przyjaźń...

— Panie hrabio, dosyć!

— Nie dokończyłem: jeżeli pani jesteś wolną sercem, a nie uznasz mnie niegodnym swej ręki... proszę o nią... Spojrzał, w oczach Lenory stały dwie wielkie łzy świecące, ujęła jego rękę powoli i słabym rzekła głosem:

— Dziękuję ci, hrabio, z duszy i serca dziękuję, na całe życie moje starczy mi tej chwili promienieści... Jestem szczęśliwą... Wolno mi powiedzieć ci, że nie kochałam nigdy nikogo, a ciebie kocham i kochać będę jednego do zgonu... ale na Boga, który mnie słucha, przysięgam, że ręka, co nie może być twoją... nie będzie nieczyją... Pamięć o tobie poniosę do grobu...

— Jak to? — zawołał przejęty hrabia — nie możesz być moją? dlaczego?

— Nie pytaj, nie mogę! przysięgam. Nadto kocham cię, bym w twój dom i rodzinę nieuchronne nieszczęście wnieść mogła. Nie mogę! Pozwól mi być godną ciebie... i dlatego nie być twoją; kocham cię, hrabio... nie będę nieczyją... rozstańmy się podając sobie ręce i mówiąc: do zobaczenia na lepszym świecie — To mówiąc wyrwała rękę żywo, spojrzała nań, i nim miał czas się rozmyśleć, oprzytomnieć, wysunęła się nie do salonu, ale do pokoju przyległego Stefci.

Hrabia był pewnym, że ochłonawszy powróci za chwilę, ale czekał już napróżno; Lenora znając dom Laury przez garderobę wysunęła się niepostrzeżona do sieni, narzuciła chustkę i wybiegła w ulicę, spiesząc do domu...

Szczęśliwy ale niespokojny, upojony powrócił Lord do salonu, gdzie postrzeżono wkrótce, iż Lenory nie było. Gospodyni poszła jej szukać... i przekonała się, że uciekła. Przykro jej było, bo naturalnie reszta wieczora była zepsuta. Przechodząc szepnęła tylko Lordowi: A! niegrzeczny panie, pewna jestem, żeś nas pozbawił Lenory... Nie ma jej nigdzie... Musiałeś być nadto natrętnym.

Hrabia nie odpowiedział nic. Wkrótce potem wysłiznął się zamyślony z salonu, a reszta gości pocichu szepcząc powoli także opuszczając go zaczęła... Krążyły pomiędzy odchodzącymi najrozmaitsze powieści o tym oryginalnym wieczorze, którego Lord i cyganka byli bohaterami.

Kobiety ruszały ramiona i krzywiły usta...

— Gotów się ożenić! ale rodziną nigdy na to nie pozwoli!

— To niepospolita intrygantka! — szeptały inne...

Nazajutrz nikt temu uwierzyć nie chciał, gdy zrozpaczona i napół oszalała Laura rozniosła między wszystkimi znajomymi swymi, iż Czarna Perełka tegoż dnia opuściwszy świat, wdziała na się sukienkę, Siostry Miłosierdzia.

Było to jednak prawdą, a co dziwniej, mówiono, że ją widziano z twarzą wypogodzoną, z uśmiechem na ustach, ze spokojem na czole... spełniającą w szpitalu Dzieciątka Jezus najtwardszą służbę nowicyuszki.

Powieść nasza na tem się kończy... bo Zbigniew uzdrowiony zginął w powstaniu, a magnat węgierski przekonawszy się, iż pobyt jego w Warszawie do niczego nie prowadzi, wprost zład do Baden pojechał, gdzie sławna paryzka Loreta na dwa tygodnie go ujarzmiła. Poczem wrócił na Węgry i nie mając co robić zaciągnął się w szeregi najskrajniejszej opozycji. — Pani Laura nie przestała ubolewać nad rozpaczliwym krokiem swej przyjaciółki, który przypisywała (pocichu) miłości dla hrabiego a przekonaniu, iż małżeństwo byłoby niemożliwym.

Lord stał się bardziej milczącym niż kiedykolwiek, oddał się cały poważnym studjom dziejowym, pracy około dóbr swych, ulepszeniom gospodarskim; a ilekroć spotykał Laurę w towarzystwach, zdaleka pozdrowiwszy ją uchodził zręcznie od rozmowy... Nikt nigdy nie słyszał z ust jego ani imienia Lenory, ani Czarnej Perełki... i twierdzą ci, co go bliżej znają, iż wcale żenić się nie ma ochoty.

WYSOKI ZAMEK WE LWOWIE.

Pozostała już tylko nazwa i zaledwie kilka odłamów muru tego zamku, a żaden z żyjących dziś ludzi nie widział go w jego dawnej postaci. Postać jednakże nie tylko zamku, ale i góry zamkowej zmieniała się kilkakrotnie.

Przed laty trzydziestu jeszcze nie była zamkowa góra niczem innym, jak piaszczystym łysym nasypem, na którym sterczały szczątki muru zamkowego. W roku bowiem 1838 zaczęto zasiewać górę trawą i sadzić na niej drzewka. Odtąd stał się „wysoki zamek“, gdyż od zamku niegdyś tu stojącego całą górę dziś tak nazywają, ozdobą miasta, jak niegdyś był jego ochroną i obroną.

Nazwa zamku wysokiego byłaby nam niewytłumaczoną, gdyby we Lwowie był istniał ten jeden tylko zamek, bo góra zamkowa bynajmniej się nie odznacza wielką wysokością, owszem jest ona raczej pagórkem, niż górą. Nie był też gmach sam, ile nam wiadomo tak wielkiej wysokości, ażeby go aż przymiotnikiem odznaczać. Powodem właściwym tej nazwy było, że we Lwowie istniały dwa zamki, z których jeden położony na górze nazwano wysokim, drugi leżący w nizinie: niskim.

Zamek ten wysoki był pierwotnym gniazdem miasta Lwowa. Nie postawiono zamku tego w bezludnej pustyni,

choć okolica ta była wówczas jeszcze dosyć dziką. Ale przed powstaniem zamku istniał monaster ś. Jura, jeszcze dawniej istniał kościół ś. Jana, i cerkiew Woznieśeńska, a zarazem i osada Żniesienie, która do dziś dnia nazwę swoją zatrzymała.

Leżała więc ta pierwotna osada w otwartym polu, wystawiona na napady Tatarów i Litwinów, którzy tę krainę w XII, XIII i dalszych wiekach często nawiedzali.

Jednakże cała ta kotlina, w której dziś rozłożył się spokojny Lwów, była wedle swojego układu miejscem ważnym pod względem strategicznym dla obrony Rusi.

Kotlina ta osłonięta wzgórzami od północy, wyżyną od wschodu południa i zachodu, a otwarta ku północnemu wschodowi czyli tak zwanym bełżkim polom, przedstawia postać podobną do wyschłej zatoki morskiej; dlatego też niektórzy historycy i geologowie twierdzą, że morze, którego istnienia ślady oczywiste znajdujemy w tej stronie, tworzyło tu zatokę, a góra, na której później zamek stanął, była tej zatoki przylądkiem. Dzieje tej okolicy, nim ją ludzie zamieszkali, zapisane są jeszcze w księdze, którą trudniej nawet odczytać, niż najstarożytniejsze kroniki pisane ludzką ręką, bo w księdze przyrody, a głoskami są tylko ślady przemian wielkich, gwałtownych,

jakie cały nasz planeta przebywał. Oderwane to głoski, z których całkowitego tekstu dziejowego jeszcze mędracy nasi ułożyć nie zdołali.

Od chwili jednak, którą nam już pewne dziejowe podania odsłoniły, zastajemy tu naród ruski. Władcy tej krainy musieli baczyć na zabezpieczenie krainy od owej powodzi hord dzikich, uderzających zawsze od czasu do czasu na oświecenijszych sąsiadów, aby się łatwą zdobyczą z bogacić. W szeregu warowni, jakimi ubezpieczano Ruś od Tatarów, stanął jako jedna z ważniejszych w r. 1250 zamek na górze nad Zniesieniem, jako nasz zamek wysoki, zbudowany przez znakomitego w dziejach Rusi króla Daniela Romanowicza. Lecz nie sam tylko zamek stanął, bo założono także miejsce warowne, co by zapewne według dzisiejszych wyobrażeń wojskowych nazwano warownym obozem.

Znany historyk Lwowa (p. Szaraniewicz) dostrzegł, że między uroczyskiem cerkwi św. Krzyża, która w przeszłym wieku jeszcze stała nad wsią Zniesieniem, a samą wsią Zniesieniem znajdują się okopy, wały i fosy. Twierdzenia, że Lwów stał na tem samym miejscu, gdzie dziś jest wieś Zniesienie, nie śmielibyśmy bezwarunkowo przyznać, a to z tej przyczyny, że nazwa Zniesienia nie zmieniła się od tylu wieków. Zamek nowy w r. 1250 nazwano Lwem (jak podają na cześć kniazia Lwa syna Danielowego). Osada około tego zamku tworząca się obejmowała zapewne i Zniesienie, jednakże rozciągała się ona jeszcze w innych prócz tego obrębach.

W miejscu, gdzie dzisiejszy Lwów leży, była „kotlina zarośnięta gęstymi lasami i przepelniona moczarami, służyła spokojnym mieszkańcom za miejsce ucieczki przed wrogiem, dokąd chronili się z dobytkiem i osłaniali zasiekami w lasach utworzonymi.“

Zamek więc przez Daniela zbudowany nie służył bynajmniej za obronę tych miejsc, gdzie nasz dzisiejszy Lwów leży, ale raczej owych, które po tamtej stronie wzgórz leżą, a dziś składają przedmieście żółkiewskie i Zniesienie.

Pierwszy ten zamek lwowski, którego wystawienie wraz z obwarowaniem przyległej okolicy zajęło pięć lat czasu (od 1250 do 1255), nie ostał się długo.

Daniel bowiem, zabezpieczywszy granice swego królestwa obronnymi zamkami, szukał ustalenia swojej władzy w przymierzach z innymi potęgami. Starał on się między innymi także o dobrą zażyłość z niebezpiecznym i groźnym sąsiadem, który przez kilka wieków ciężył żelazną ręką na całej Rusi, t. j. z Tatarami.

„Kiedy chcecie dowieść, że jesteście moimi przyjaciółmi, to zburzcie wasze warownie“, tak mówił Batuchan do kniazów ruskich, którzy o jego przyjaźń się ubiegali.

Był to pokój podobny, jaki teraz Prusacy proponują Francuzom. Polityka zaborczych hord dzikich Tatarów,

nie różniła się niczem od dzisiejszej polityki „cywilizowanych“ Prusaków.

Kniazowie ruscy ulegli takiemu żądaniu, bo było ono poparte przeważną siłą, a siła szła przed prawem u Batuchana, zarówno jak u króla Wilhelma.

Padły ofiarą tego przymierza warownie takie jak Kamieniec, Łuck, które musiał zburzyć kniaz Wasilko, Daniłów, Stożek i Lwów.

Dokonał tego smutnego dzieła syn króla Daniela Lew, na którego cześć Lwów nazwę swoją otrzymał. Było to w r. 1261. We trzy lata potem umarł król Daniel, a rządy objął po nim Lew.

Zamek i warownie zostały zburzone, ale osada została prawdopodobnie; nie masz bowiem nie tylko wzmianki w dawnych kronikach o tem, jakoby mieszkańcy tę osadę opuścili, ale owszem pod rokiem 1283 pisze kronika, zwana Ipatyewską, o napadzie ponownym Tatarów, który trwał przez dwa tygodnie w ziemi lwowskiej.

Tatarzy niedarmo żądali zburzenia warownych grodów, i łatwym było do przewidzenia, że czynili to w zamiarze, aby nie doznać przeszkód w swoich łupieżczych zagonach, w których przez Ruś ciągnęli dalej na zachód.

„W tych pochodach nie oszczędzali Tatarzy bynajmniej swoich sprzymierzeńców, łupili ich nie inaczej jak swoich wrogów, a pozostawiali po sobie głód, pomór i spustoszenie. Oprócz tego napadały na Wołyń i Ruś nieregularne tłumy rozbójnicze tatarskie, ogołacały niwy z robotników i zabierały wszystko, co się nawinęło po drodze.“

Ludność wiejska opuszczała swoje siedziby i szukała schronienia w miejscach warownych.

Gdy Tatarzy nie dotrzymywali sojuszu przyjaźni, więc i kniazowie zwolnieni byli od obowiązku nieutrzymywania warownych grodów. Zaczęto więc zniszczone zamki na nowo odbudowywać.

Z tej konieczności wyniknęło powtórne założenie Lwowa.

Kiedy to nastąpiło i przez kogo, o tem zachodzi spor między historykami Lwowa. Wagilewicz twierdzi, idąc w ślad za rękopiśmienną „Letopis wielk. kniazstwa litowskiego“ (znajdującą się w bibliotece Raczyńskich w Poznaniu), że Lwów został powtórnie założony w początkach XIV. w. przez Lwa Mścislawicza, który był stryjecznym bratem Lwa Daniłowicza.

P. Szaraniewicz i X. Pietruszewicz zaś utrzymują, że powtórnego założenia Lwowa dokonał Lew Daniłowicz już przed r. 1283.

Bądź co bądź, za panowania Lwa powstał zamek wysoki nanowo, a okok niego drugi niski zamek.

Obraz jaki, daje p. Szaraniewicz o powstaniu Lwowa po wystawieniu tych dwóch zamków, przedstawia nam żywo pierwsze początki naszego grodu.

Obydwa wspomniane zamki, wystawione w nowo odbudowanym Lwowie, były drewniane. Wyższy zamek stał prawdopodobnie na górze, która jeszcze teraz nazywa się górą Lwa. Tu przechowywano kniaziowskie skarby i zdobycze z litewskich i polskich krajów wniesione, były zbrojownie i t. d.

Ten wyższy zamek z tramów leśnych pobliskiej kotliny wybudowany, kobylnicami i mocnymi ostrokołami (palisadami) otoczony, był najsilniej obwarowanym miejscem w grodzie Lwowie, podobnie jak po innych grodach tak zwany „dityniec“. Po pod wyższym zamkiem prawdopodobnie od południowej strony, osiedli się może na wzór innych miast w chatach słomą krytych: straż przyboczna, słudzy i inni dworzanie kniazia. Liczna straż pilnowała z baszt nie tylko zamku, ale całej okolicy.

Drugi zamek został wybudowany na niższej terasie góry, w zaciszu, na miejscu przystępniejszym, ochronionem górą przed północnymi wiatrami, prosto na zachód od Lwiej góry. W tym niższym zamku zajął kniaz Lew stałe mieszkanie. Na terasie, między niższym a wyższym zamkiem pobudowali bojarowie, słudzy kniazia i inni dworzanie swoje chaty, i tak utworzyli ulicę, łączącą oba zamki ze sobą.

Wspomnieliśmy już poprzednio, jak ludność wiejska chroniła się przed łupieztwem Tatarów do warownych miejsc. Działo się to samo i we Lwowie, gdzie około zamku (na podzamczu) zaczęło coraz więcej ludzi się osiedlać. Przenosili się tu nawet bojarowie, którzy nie mieli własnych bezpiecznych siedzib. W miarę, jak się ludność zwiększała, zaczęła się i kotlina wytrzebiać, i p. Szaraniewicz wie, „że Lew kazał oczyścić kotlinę z lasów, stawiać z wyciętych kraglaków domy, w których osadzał nowych przybyszów“.

Nie był więc wysoki zamek już czasu kniazów ruskich rezydencją tychże, ale służył tylko do obrony miasta, utrzymywania tam załogi i przechowywania skarbów.

Gdy po śmierci kniazia Bolesława, który według wszelkiego podobieństwa (jak twierdzi Zubrzycki w kronice miasta Lwowa) rezydował w Haliczu, król Kazimierz W. zajął Lwów, zastał on miasto i oba zamki w niebardzo obrotnym stanie. „Naród*)“ zostawał w zaburzeniu i niezgodzie... Nikt nie myślał o wprowadzeniu silniejszej załogi do zamków lwowskich i wzmocnieniu warowni.“

Kazimierz W. kazał spalić monaster św. Jura, i zagrożał tem samem zamkom obydwom. Zagrożeni zniszczeniem dowódcy zamkowi poddali się. Kazimierz W. zabrał skarby znajdujące się w zamkach, zameczyska spalił i wrócił do Krakowa. Było to w maju r. 1340. W czerwcu tegoż roku odbył Kazimierz W. drugą wyprawę na Ruś i zajął ziemie: przemyską, sanocką, lubaczowską, a

w jesieni zajął Lwów powtórnie, i w nim się usadowił t. j. ustanowił tu starostę.

Kazimierz W., który zajął się natychmiast z właściwą sobie sprężystością uporządkowaniem spraw Rusi, przeniósł główne ognisko miasta z podzamcza w to miejsce, gdzie dzisiaj Lwów leży, opasał takowe murem i obwarował, a podobnie, jak w miejscu spalonego monasteru i cerkwi św. Jura nowe murowane wystawił, tak też i zamki obydwu odnowił.

Zamek wysoki stał się odtąd siedzibą załogi starościńskiej, a niski zamek siedzibą starostów lwowskich, którzy w początkach panowania Kazimierza W. byli zarazem i wojewodami ruskimi, czyli po dzisiejszemu się wyrażając: namiestnikami królewskimi.

Takim starostą był w r. 1351 niejaki Ota, jak się okazuje z wypisu przytoczonego przez Zubrzyckiego z dokumentu oryginalnego, który został spisany za panowania „Korolia Krakowskaha i przy derżawie pana Oty starosty ruskoje zemle“.

Po śmierci króla Kazimierza W. (r. 1370) zmieniły się rzeczy o tyle, że we Lwowie rezydował już nie starosta, ale książę Władysław Opolski, o którym D. Zubrzycki twierdzi, jakoby książę Opolski był „niejako“ udzielnym księciem Rusi, podczas gdy Zimorowicz i inni twierdzą, że był „wielkorządca“, wicekrólem czyli prorex.

Jak już Kazimierz W. kilka razy we Lwowie przebywał, jak Władysław Opolski tam przemieszkował, tak Jagiełło nieledwie co dwa lata Lwów odwiedzał.

Służyły więc zamki lwowskie w czasach panowania tych królów często za rezydencje królewskie.

Roku 1387 zajął królowa Jadwiga zamek i miasto, a to stanawszy w Gródku, dokąd wysłannicy z miasta pod opieką listu żelaznego się udali, a wskutek umowy z nimi zawartej, wkroczyła królowa po niedzieli Reminiscere do miasta (t. j. druga niedziela postu) i nadała zaraz miastu przywileje, postanawiając starostą lwowskim Jana z Tarnowa.

Było to podczas pobytu Jagiełły na apostolstwie na Litwie. W kilka miesięcy przybył król Jagiełło po raz pierwszy do Lwowa, i wszystkie swojej żony nadania potwierdził.

Zaraz w następnym roku zażądało miasto od króla oświadczenia, że Ruś raz na zawsze z Polską połączoną zostawi i nigdy jej pod panowanie innego księcia nie podda (1388).

Królewscy goście musieli zawsze rezydować na zamku; przynajmniej nie masz o tem wzmianki, ażeby inna jaka królewska rezydencja w dawniejszych czasach we Lwowie się znajdowała. Posiadał Władysław Opolski wprawdzie dom w mieście, a później Świdrygajło, lecz dom ten darował król arcybiskupowi. Zwykle jednak rezydowali

*) D. Zubrzycki: kronika miasta Lwowa.

w zamkach starostwa, a dzielnica pod zamkiem wysokim leżąca, która od XIV. w. stanowiła już tylko przedmieście (bo miasto samo przeniósł Kazimierz W. w tę stronę, gdzie się teraz znajduje), należała pod jurysdykcją starosty. Z pod tej jurysdykcji było miasto samo uwolnione i miało najzupełniejszą autonomią.

Ze starostów dawniejszych wzmiankowany jest w aktach miejskich Floryan z Korytnicy, jako nowomianowany w r. 1407; nastąpili po nim Spytko z Tarnowa, Piotr Wołodkowiec z Charbinowic (1484), Wincenty z Szamotoł (1433). Równocześnie (r. 1433) był wojewodą ruskim Piotr

czenie swoich pretensyi. Między innemi obiecał starosta, że nie pozwoli w swoim terytoryum szynkować i uszczuplać praw propinacyjnych miasta.

Pomimo to okazały się rządy Odrowąża tak dla ziemi ruskiej jako i miasta wielce uciążliwemi, tak dalece, że szlachta lwowska i żydaczowska zawarła z miastem Lwowem rodzaj konfederacyi.

Po śmierci Andrzeja Odrowąża miał na stolicy zasiąść syn jego, ale z powodu skarg wytoczonych Odrowążom ze strony ziemian i miast zjechał król Kazimierz do Lwowa i „wykupił“ ziemię ruską z pod władzy Odrowążów.



Dawny zamek we Lwowie.

Odrowąż, podczas gdy Jan Odrowąż zasiadł na stolicy arcybiskupiej. Po śmierci Piotra zamianowany został synowiec jego Andrzej Odrowąż ze Sprowy wojewodą i starostą ruskim.

Jako starosta miał Odrowąż jurysdykcją na przedmieściu zamkowym (jakeśmy wyżej rzekli); gdy zaś miasto miało swoją osobną jurysdykcją, a oprócz tego wiele praw odnoszących się do przemysłu i handlu, więc zachodziły często między temi dwiema władzami spory. Jeden z takich sporów w r. 1499 załatwiony został dobrowolną ugodą między starostą a radą miejską, którą starosta zabezpiecza miastu pewne prawa i zgadza się na ograni-

Były tedy zamki lwowskie przez lat 20 rezydencją tej przemożnej na Rusi rodziny. Wykupno ziemi tej z pod władzy Odrowążów kosztowało wiele. Nałożył król dlatego wykupna na ziemi: lwowską, halicką, żydaczowską, a podobno nawet i bełką podatek, po fertonie tj. 12 groszy od łanu (60 morgów). Trzeba wszelako rozważyć, że wtedy znaczył grosz prawie tyle co dzisiaj 50 centów; bo 48 groszy szło na grzywnę srebra, a grzywna obejmowała zawsze 16 uncyi czyli 32 łuty, więc 48 groszy znaczyło tyle co dzisiaj znaczy 21 złr. austr.

Podatek ten wynosił zatem podług waluty dziś obiegającej w kraju $8\frac{2}{3}$ centa od morga.

Za taką cenę okupiła sobie ziemia lwowska z sąsiednemi uwolnienie od ucisku przemożnego magnata. Jakiem prawem to się działo, że ziemie te od panowania starosty wykupywać się musiały, to wprawdzie nie należy do historii pojedynczego zamku, ale gdy zamek lwowski był rezydencją tych, którym się cała ziemia okupić musiała, więc najstosowniejsza wzmianka o tem przy historii zamku, którego skarbiec napełniał się łupionymi na mieszkańcach skarżami.

Odtąd już nie mieli starostowie takiej władzy, tem bardziej, że utworzonych zostało więcej starostw w ziemi ruskiej, jakoto obok lwowskiego, gliniańskie, grodeckie, szczyrzeckie i janowskie.

W sławnej owej a tragicznej sprawie Halszki z Ostroga odegrał wysoki zamek także swoją rolę. Księżna Beata, matka Halszki, w r. 1559 wytrzymała formalne obleżenie w klasztorze OO. Dominikanów, dokąd się była schroniła ze zbrojną załogą, musiała w końcu kapitulować przed oblegającym starostą lwowskim. Według tej kapitulacji została Halszka osadzona na wysokim zamku oczekując królewskiego wyroku, i ztąd została wydana Łukaszu z Górcze narzuconemu małżonkowi.

Dzierżyciele wysokiego i niskiego zamku, starostowie lwowscy, starali się od czasu do czasu, zawsze nanowo, coraz więcej praw sobie przywłaszczać w terytorjum pod ich jurysdykcją należacem. Miasto zaś upatrując w tem uszczuplenie swoich praw, które mu przywilejami przez królów nadanymi przyznane zostały, wytaczało z tego powodu spory, które ostatecznie musiały być rozstrzygane na korzyść miasta. Taki wypadek zaszedł w r. 1586, kiedy miasto ze starostą Herburtem o to spór wiodło, że tenże podzamecz osiedlał rzemieślnikami, że zaprowadził tam propinacją, targi i składy towarowe, a nawet targowe pobierał od samychże mieszczan lwowskich, zaś używania pastwisk i wrębu w lasach starościńskich zabraniał. Król Stefan, któremu wogóle Lwów wiele dobroczynnych instytucji zawdzięcza, rozstrzygnął sprawę na korzyść miasta.

Z tych wszystkich dotąd przytoczonych faktów łatwo powziąć, że zamek wysoki może więcej do ucisku niż ochrony i obrony miastu służył.

Ze śmiercią króla Stefana skończyły się złote czasy miasta Lwowa i miast polskich wogóle. Jeszcze przez jakiś przeciąg lat trwała dawna świetność ich, ale już z każdym rokiem dawało się czuć miastom a Lwowu w szczególności chylenie się stopniowe Rzeczypospolitej ku upadkowi. Gdy jednak nie miasta, ale zamku dzieje piszemy, więc wolimy zamilczeć o tych z każdym rokiem wzmagających się symptomach upadku.

O zamku należy nadmienić, że jak wogóle około miasta tak i na górze zamkowej znajdowały się w XV. w. założone winnice, których dziś już ani śladu nie masz w kraju.

Zamek wysoki służył za koszary dla starościńskiej załogi i za więzienie, na niskim zamku odbywały się nieraz sprawy publiczne. Tak czytamy pod r. 1629, kiedy się odbywał zjazd unitów i dyzunitów we Lwowie: Dnia 28 października w niedzielę „po obiedzie wszyscy unicy w mantjach szli ordine do zamku protestując się na prawowiernych tak duchownych jako i świeckich, że się na rozkazanie króla Jegomości (Zygmunta III) na sobor nie stawiali, a książe Zasławski posyłał do bractwa miejskiego, aby szli do zamku do uniatów i t. d.

Sprawa tedy unii, przez Zygmunta III zamierzona, traktowała się na zamku.

„W poniedziałek w zamku skarżyli się unicy na kucharki ruskie i ormiańskie, że ich poganami po ulicach nazywali (sic) i przeklinali, których urzędownie serio obiecali karać, i wsadzono ich było w zamek kilka“...

Skończyło się na różgach wyliczonych kucharkom na zamku.

W dziejach miasta zarówno jak i zamku odbija się od połowy XVII. wieku coraz widoczniej chylenie się ku upadkowi sprawy publicznej w Rzeczypospolitej, i daje się coraz żywiej czuć owo skołatanie ojczyzny, które się skończyło jej rozbiorem.

Napad Chmielnickiego wystawił Lwów na klęskę, jakiej nie doznał nigdy nawet wśród najsroższych napadów tatarskich, gdyż tym opierały się dotąd zawsze skutecznie miasto samo i zamek.

Po klęsce pod Pilawcami rozbite wojsko koronne przeciągało przez Lwów zabrawszy wielką sumę pieniędzy (1648).

Miasto opuszczone i ogołocone ze środków pieniężnych jako też wojennych nie mogło się oprzeć Chmielnickiemu i musiało się okupić.

Podczas gdy targi z Chmielnickim o ten okup się toczyły, burgrabia zamkowy, Jan Bratkowski, „głodem i pragnieniem ciężkiem zemdlony, ludzi różnego stanu pod tysiąc na poły prawie żywych odstradawszy, z wysokiego zamku, gdzie się więcej trudno bronić było, w małym orszaku żołdaków swoich musiał uchodzić, a kozactwo zażarte z kijakami (ludem zbrojnym w kije), pobratymami swymi, w pień do jednego mordersko wysiekli i wytrawili. Zamek sam spustoszywszy, mury jego i z murawą wszędy krwią zfarbowane, baszty i wieże trupem gęstym zamietane odeszli i porzucili“. Powtórzyliśmy dosłownie ten opis z dyaryusza świadka naocznego, Andrzeja Czechowicza, aby okazać, jakie znaczenie miał zamek wysoki, jako twierdza, dla miasta; było ono bardzo podrzędne; jeżeli się miasto nie trzymało dzielnie w obec nieprzyjaciela, to zamek sam nic nie znaczył.

Że zamek więcej pomocą miasta się utrzymywał niż temuż pomocy dawał, to widzimy między innymi z relacji burmistrza Marcina Groswayera o temże samem

oblężeniu, który pisze: „Bronił się i zamek porządnie zasiągnął w nocy z miasta kul i prochów“; w dalszym zaś ciągu tej relacji pisze tenże: „bez przestanku impety wielkie na miasto od nieprzyjaciół „bywały tak dalece, że też i zamek wysoki, z którego „sine necessitate tam urgenti wprzód p. burgrabia „a potem porucznik z piechotą uszedł, opanowali, lud „ubogi utriusq sexus atq aetatis w pień powycinawszy“.

Dalszy dowód, że z tego zamku niewielki bywał dla miasta pożytek, znajdujemy w relacji Dobieszowskiego (Stanisława, regenta miasta w r. 1655) z powodu powtórnego najazdu Chmielnickiego. Opisując, jak Krzysztof Grodzicki, generał artylerji a gubernator miasta Lwowa, utwierdzał miasto samo, dodaje: „to się z zamkiem wysokim, który pustkami śmierdział i per tantam seriem annorum niepożytecznym miastu stojąc naksztalt straszydła jakiego zostawał, uczynił: kiedy go ostrogiem wysokim, blankami, fosami głębokimi, działami, restauracją budynków i murów po części dla oficerów i żołdatów, których się tam pułk w liczbie bogatej z p. Grothausen Edwardem, mężem dzielnym, przy żywności dostatecznie przysposobionej zawierał, opatrzył i t. d.“

Jaki był stosunek załogi wysokiego zamku do miasta, okazuje między innymi najlepiej list Mikołaja Prażmowskiego, biskupa Łuckiego, pisany z rozkazu króla do kasztelana (którego?), gdzie wyraża niezadowolenie króla ztąd, że nie zaopatrzywszy należycie załogi zamkowej we Lwowie w prowiant „ludzi ubogich, obywatelów przedmieścian miasta tego (t. j. Lwowa) w ręce i dyrekcją pana komendanta wysokiego zamku całe puścił“.

W liście tym wytyka Prażmowski gwałty, jakich się załoga zamkowa dopuszcza, i nadnienienia o zabójstwie popełnionem przez Wojciecha Radwańskiego, który był dozorcą arsenału w mieście czyli cajtzwartem. Rzeczywiście dopuszczał się wedle aktów grodzkich komendant wysokiego zamku Daniel Lindenrot rozlicznych nadużyć we Lwowie.

Cośmy wyżej powiedzieli o zamku, że mniej przynosił miastu pożytku niż szkody, to się okazało znowu w owem oblężeniu miasta przez Turków w r. 1671, które Szajnocha bardzo szczegółowo opisał, a którego opisu też powtarzać nie myślimy.

Podnosimy tylko tę okoliczność, że już wtedy widocznie nie przypisywano wysokiemu zamkowi wielkiego strategicznego znaczenia. W czasie tego strasznego oblężenia nie było na wysokim zamku załogi więcej jak dwudziestu ludzi; tych tedy sprowadzano w nocy do miasta (d. 27. września 1671). Turcy opanowawszy zamek zatoczyli tam dwa działa i, z nich miasto ostrzeliwali.

Może z tego właśnie powodu, że się przekonano, jako zamek ten coraz bardziej tracił znaczenie do obrony Lwowa, został on w ostatnich czasach zupełnie w zaniebanie puszczony. Tak dalece nie dbano już o zamek wysoki w XVIII. wieku, że podczas oblężenia Lwowa przez Szwedów w r. 1704 na wysokim zamku wcale żadnej załogi nie było.

Miało to wprawdzie tę niekorzyść dla miasta, że nieprzyjacieli stanowisko panujące nad miastem zajmował, ale byłby on to uczynił nawet, gdyby tam zamku nie było.

Z czasu wojny szwedzkiej jest ostatnia o wysokim zamku wzmianka w aktach. Znać został on odtąd zupełnie opuszczony. Nizki zamek pozostał aż do ostatnich czasów siedzibą starostów, ale wysoki rozsypywał się coraz bardziej w gruzy, a dziś żyjące pokolenia widziały już tylko szczątki murów na łysej górze.

Wzgórze zamkowe zostało zupełnie ogołocone z drzew, zapewne ze względów wojskowych, i dopiero przed laty trzydziestu została góra nanowo drzewami zasadzoną.

Podanie niesie, że między dawnym wysokim zamkiem a ratuszem istnieje podziemna komunikacja, nikt się jednak dotąd nie pokusił o odkrycie takowej.

Góra zamkowa służyła, nim jeszcze drzewami zasiana została, za kopalnię piasku, którego nie tylko w niewyczerpanej obfitości, ale w szczególnej jakości dostarczała.

Raz przy szukaniu piasku, czy też przy innej jakiejś robocie napotkano jakoby na małe Herkulanum, na zasypaną gruzem i ziemią komnatę i sień do niej prowadzącą. W komnacie siedziało dwóch mężów przy stole z łulkami w ustach i szachownica z szachami przed nimi. Siedzieli bez uszkodzenia najmniejszego, a ciała ich były zupełnie zdrewniałe, szaty jedwabne w całości, jednak za dotknięciem rozsypywały się; podobnie też wasy zostały w ręku kogoś z ciekawych. Była tam także i mumia kobiety w korytarzu, przyparta do muru przez wał z gruzu, i szkielet dziecięcia leżącego na ziemi.

Widocznie zaskoczyła katastrofa zawalenia murów tę rodzinę w chwili zupełnie swobodnej i niespodziewanie.

Zabytki te świadczące jakoby o chwilach ostatnich wysokiego zamku, które go zamieniły w kupę gruzów, przeniesione zostały do muzeum anatomicznego we Lwowie, a w r. 1848, gdy Lwów bombardowano, spaliły się i te ostatnie pamiątki wysokiego zamku. Tak prześladowały koleje losu zamek wysoki i jego mieszkańców aż do ostatnich czasów. Dziś staje tam inny pomnik, kopiec unii lubelskiej, który będzie może drogowskazem dla przyszłości narodu.

K. WIDMAN.

Urywki z rękopismu J. Gordona p. t. „Gdy się było młodym.“

(DOKOŃCZENIE).

IX.

W ŚWIAT SZEROKI.

Idź raczej w piękne mirtów i cyprysów kraje!
Codzień w weselnej szacie u nich słońce wstaje...
U nich wawrzyny rosną, i niebo pogodne,
I ziemia ubarwiona, i myśli swobodne.

Na śmierć Mikołajowi zadzwoniono.

Otruł się siłacz, pokonany przez swych wrogów z zachodu. Z Panem Bogiem do wieczności! jeden u nas despota mniej, jedna nadzieja więcej...

Nikt się nie frasował zgonem mocarza, z wyjątkiem kilku zauszników i pochlebców, którzy winni byli swoje karyery nieboszczykowi, a lękali się utracić takowe pod berłem Aleksandra. Urzędową żalobę przywdział dwór dla przyzwoitości.

I Moskwa zmieniała pana.

Podobnie się dzieje ze wszystkimi książątkami w „świętej Moskwie“, jak ją tam nazywają.

Gdy się car rodzi, żeni lub umiera, ciemny naród zwykł oczekiwać jakiegoś najmiłościwszego manifestu, który nadchodzi — bańka wewnątrz pusta — dla zamydlenia oczów wiernopoddańczych. Pocciwy lud wyobraża sobie zawsze w panującym dobrotliwego opiekuna, zamiast wystawiać go sobie z rogami, jako Jowisza piorunującego. Tak on przywykł do swej biedy, iż jakakolwiek ulga wydaje mu się być darem z nieba.

Czegoż bowiem można się spodziewać, aby dał w Moskwie dobrowolnie którykolwiek z monarchów, jeżeli nie blichtru? Toż przez każde rzetelne ustępstwo na korzyść narodu osłabiałby samowładztwo swoje, oparte na rządzie bez kontroli, na władzy nieograniczonej, do utrzymania której, za jakąby nie było cenę, każdy z samodzierców ustawiczne czyni wysilenia! Każdy z nich pragnie być na ziemi czczonym więcej od stwórcy samego i chce, aby wolę jego szanowano bardziej niż prawo boże; chce, aby mu na wzór cesarów rzymskich za życia wznoszono ołtarze.

Widzimy to wszystko w oplakanych skutkach.

I co też powiedzą kiedyś historycy i przyszłe wolne pokolenie o naszej dzisiejszego wieku wiernopoddańczości, o naszym służebnictwie i poniżającej pokorze, która jest psu zasługą, człowiekowi grzechem?...

Lecz wróćmy do łask carskich.

Oczekiwany manifest przywieziono nakoniec z Petersburga. Tyle miłosierdzia naraz!... aż mię głowa zaboląła.

Jedna z tych łask opiewać raczyła, żeby mię posłano w celu dania sposobności do otrzymania stopnia pod Sewastopol bić się z Francuzami, Anglikami i Turkami.

I zkad ja do tego przychodzę?—pomyślałem, skoro mi oznajmiono ową szcudrobliwą łaskę. Zaiste, nie kocham tak cara, ażeby dla jego widzimisie nadstawiał szyję pod jatagan muzułmański, lub stawał do walki z tymi, co wypisali cywilizacyi godło na sztandarze swoim, pomiędzy którymi byli i Polacy.

Postanowiłem więc bądź co bądź, wyrzekłszy się wszelkich względów koronowanego pana, na chybi-trafi ostatecznie umykać.

Opatrzność poszczęściła mi nakoniec tym razem w zamiarach; bo gdy w ciągu pochodu do Krymu czmychnąłem Moskalom, nie oparłem się aż za granicą państwa rosyjskiego.

I stałem się ni z tego ni z owego turystą, choć nie z powołania, ale z potrzeby. Przebiegałem szybko Europę do krain dalekich wprawdzie, ale wolnych, ale szczęśliwych.*)

I odetchnąłem swobodnie wśród skał alpejskich, wśród rokosznych Apeninów i uśmiechających się jezior w Szwajcaryi i Włoszech.

I podumałem w zwałiskach zamków feodalnych baranów o znikomościach doczesnych i o nędzy ludzkiej. Zwiedzałem zębate baszty, żłobione kapitele, zapadłe krużganki, podziemia i wieżyce, gdzie głodem morzono i głodową śmiercią umierać kazano.

Przypatrywałem się szczątkom tortur, używanych od r. 1300 do 1809 w krajach niby chrześcijańskich; tudzież posągom rozmaitych królów, zdobywców, satrapów i dworzan. Za życia otaczali ich niewolnicy, co dopomagali do poruszania się tym dostojnym mężom — czatujący w pokorze na ich skinienia i najdrobniejsze objawy żądy tajemnej. Ileż trzeba było rąk wyciągniętych i karków schylonych, łez i krwi do odświeżenia ich płaszczów purpurowych i namaszczenia na wielkość tych okrutnych postaci!

Wojna — stan naturalny cywilizacyi niezupełnej, której barbarzyńskie rezultaty widzimy w zniszczeniu wiekuiestej pracy na dobrobyt i w tysiącach zrujnowanych rodzin w najniższych warstwach społeczeństwa, ustępuje już przecie w swoim właściwym znaczeniu przed potęgą nauki.

Nie męstwo, nie udatność i zręczność wirgiliuszowej epopei bohaterów, są głównymi czynnikami nowożytnych zapasów, ale tępiące wynalazki rusznikarzy i chemików.

Maszyny piekielne zmieniły system bitew lądowych i morskich. Iglicówki, chassepoty i kartaczownice czyli

*) Przechadzki po Ameryce p. J. Gordona, obywatela Stanów Zjednoczonych, Berlin, 1866.“

snopy morderczych lufek, zastąpiły oszczepy, halabardy, dziryty i miecze. Przyjdzie do tego, że gdy groty śmiertelne XIX. stulecia udoskonalone zostaną tak dalece, iż bratobójcze szwadrony nie zdołają ostać się pod ich cio-sami, wypowiedzą wtedy posłuszeństwo i skończy się na świecie wojaczka.

Napoleonidy, Hohenzolerny i tym podobni wielcy ludzie z całą swą uzbrojoną od stóp do głowy czeladką, z całą żyłką korsykańską, krzyżacką, czy tam jaką?... (bo to rzeczy nader wątpliwe), chcąc nie chcąc będą musieli żyć, jeżeli nie w zgodzie, to przynajmniej w pokoju.

Lecz ponieważ porównać ich można do ostrzów nożyc, które w zetknięciu się w niczem sobie nie szkodzą, choć krają wszystko, co między niemi staje, następuje się pytanie, co by robili i jakieby było znaczenie owych ambitnych z woli Boga i ołtarza ichmościów, gdyby przestali się kłócić w widokach dynastycznych o swą potęgę kosztem pocziwych krótkowidzów?

Czemu ci śmiałkowie nie biją się sami, jak w starożytności Horacyusze z Kuryacyuszami, a Goliat z Dawidem?..

* * *

„Breslau! Breslau!“ wrzasnął chrapowatym głosem konduktor; „Breslau!“ powtórzył drugi piskliwie o kilka kroków, a sznur wagonów zatrzymał się pod dachem na dworcu kolei żelaznej.

I otoż skoczyłem jak z procy do Wrocławia. Wszystkie przygody pozostały za mną!

Otworzono drzwiczki, wybiegłem, aby co rychlej przed natłokiem odebrać manatki podrózne, wsiałem do najbliższej jednokonki i krzyknąłem na woźnicę: „Zum goldenen Löwen!“

Dorożka potoczyła się po szerokich ulicach w nowym stylu zbudowanej stolicy szląskiej i stanęła przed wspinałym hotelem, utrzymywanym przez wdowę Burakowską.

Odźwierny w dzwonek uderzył na ukazanie się wędrowca; kilku kelnerów w spencerkach, opięto i kuso wyskoczyło z bramy na spotkanie; jeden z nich zabrał parasol i laskę, drugi torbę i paletot, i tak z okazałością, bo to Niemców nic nie kosztuje, zaprowadzono mię do przeznaczonego pokoju, przezywając co chwila „grafem.“

Spojrzałem w lustro, żeby się przekonać, czy rzeczywiście tak diabelnie imponującą dla Niemców mam minę?..

Spoczawszy trochę z utrudzenia, posiliwszy się nieco, wyszedłem na miasto, aby rzucić okiem na gród handlowy i obaczyć się ze znajomymi.

Zatrzymałem się na placu przed Fryderykiem siedzącym na spiżowym koniu. Bo chociaż nie był to przyjaciel, ale także jeden z mych starych znajomych: odwiedzałem go bowiem w r 1847.

I nie byłbym się nigdy spodziewał, że szkoła najezdnicza szląskiego, męża w trójgraniastym kapeluszu z upu-

drowanym harcapem, wyda kiedyś tak zapalonych średniowiecznych rycerzy, jak Bismarków et consortes.

Ale otóż i księgarnia w ulicy, z napisem na szybie: „Tu gadają po polsku!“ Widać, że głośno gadają, prawdziwie po polsku; szkoda że nie deklamują, bo za napisem umieścili aż trzy wykrzykniki — wchodzę zatem bez obawy.

— Czy nie raczyłby pan objaśnić mię — rzekłem do siedzącego za kantorem mężczyzny — gdzie bym tutaj we Wrocławiu mógł odszukać moich dawnych sprzymierzeńców i członków towarzystwa demokratycznego.

Księgarz dziwne zrobił wejrzenie, jakby nie dowierzał uszom swoim.

— O kogo to, o kogo pan pyta? — zagadnie niosąc w palcach do czerwonego nosa szczyptę tabaczkę.

— Pytam o hrabiego Reichenbacha, o Dra. Burcharda i jego znaną małżonkę, o redaktora Zemrau, słowem o osoby, które w 1846. roku ułatwiły ucieczkę Krakowianom z twierdz pruskich Kosel i Neisse.

— Przepraszam... ale z którego to pan świata do nas tu przybywa?

— Z dalekiego, mój łaskawco, z dalekiego, gorzej jak z księżycy... bo aż z Syberji.

— O! o! o!... wolne żarty... czyż to można wrócić z Syberji?..

— Tak, tak... ma pan najlepszy dowód na mnie... ale co do mej prośby?..

— Jabym panu radził, tytułem życzliwego człowieka, nie odzywać się w mieście o tych swoich znajomych... czy tam sprzymierzeńcach! Czasy się zmieniły, mój dobrodzieju. Całe to pańskie towarzystwo demokratyczne, jak je nazywasz, które istotnie skupiło się tu niegdyś pod firmą „przyjaciół światła,“ po wypadkach 1848 r. przez rząd rozpedzone zostało — i z całej partji utrzymał się tu jedynie Zemrau, który z literata przeszedł na handlarza tytoniu i sygar.

Tam do kata! — pomyślałem — po takich wiadomościach nie ma co długo popasać w Szląsku pruskim, nie ma tu punktu oparcia dla mnie, trzeba się wynosić... Od lat tylu ileż to zmian zajść musiało wszędzie za granicą... trudno zapewne będzie spotkać się z jaką znajomą twarzą!

I znowu podążyłem na kolej, dano znak, kocięł świsnął parowego marsza, liczne sioła ustępują z drogi, dopiero krzyż przy gościńcu, już czarowna okolica, stary kościółek modrzewiowy, dopiero lasek, już dolina, tam pasterki tańczą, tu baranki się pasą, ja zaś pędzę w świat szeroki na okulbaczonym lucyperze, zionącym ogniem, z zadartym do góry fryzowanym ogonem dymu.

Coby nam nie nucili harficznem słowem poeci, stroniący od wyziewu pary, od zasmolonych maszyn i kół, ściśle obliczonych w swych ruchach, — świat przemysłowy ma przecież barwę poetyczną; stanie się malowniczym później.

Żyjemy zaiste dopiero w poranku pod względem maszyn. Jak każdy wynalazek nowy, maszyna jest jeszcze w zarodzie; kształty jej są potworne, które z postępowaniem uszlachetnione zostaną; widzimy jej szkielet, powłoka zrodzi się z czasem. Zanim bóg Olimpu wyszedł z pod dłuta Fidiasza, spoczywał w jego snycerni w postaci nieociosanego pniaka.

Któż wie, czy lokomotywa, ten pomnik XIX. wieku, nie okaże się kiedyś piękniejszą od rydwanów rzymskich, a wsparta na wielkiej idei Iliada przemysłu nie znajdzie dla siebie drugiego Homera?...

Jakoż, ilekroć razy widzimy maszynę w biegu, doznajemy mimowolnie wzruszenia. Odlana z martwej materii, ma ona wszelakoż tyle podobieństwa do człowieka. Podobnie jak on posiada płuca, któremi dyszy; spożywa gazy; ruch ją ożywia; ma muszkuły stalowe; a hałaśliwe jej tchnienie ulatuje gorące przez krtani metalową.

Jej życie sztuczne, milczące a czynne ma coś dziwnie niepokojącego. Pracuje na nas dzień i noc bez spoczynku, bez zapłaty, bez narzekania; i byle tylko rzucić jej należną porcją drzewa na pożarcie, bieży ciągnąc nas z ruchomościami za sobą.

„Dresden!“ Cóż to za przemiana, dzięki lokomotywie?... Nie dawno jeszcze w szponach moskiewskich... teraz w ustroniu łatwego bytu i spokoju, w Saksonii!

Nie mogłem się wstrzymać, aby przejeżdżając przez Drezno nie odwiedzić trzech orędowniczek lat moich młodzieńczych, trzech madon, zamieszkałych w rzeźbionych murach Zwingeru, a mianowicie: niemieckiej Holbeina, ludowej Corregia, i arystokratki Rafaela.

Pobiegłem najprzód do arystokratki sytyńskiej, bo mi się najbardziej podobała, i wszedłem po cichu, z uszanowaniem do jej salonika.

Ma ona bowiem w galerii osobny salonik, gdzie przyjmuje gości u siebie, zwłaszcza polskich pielgrzymów.

Usiadłem tedy na kanapce — byliśmy sam na sam.

Zawsze jednakowa, młoda i śliczna Madona, serce jej nigdy się nie starzeje i zawsze rozlewa błogi spójność w duszy tego, kto na nią popatrzy!

A właśnie spokoju tak mi potrzeba było, pociechy, spoczynku, bo już zbyt długie na tym padole przeżyłem był wieki, a zbywało mi na nadziei, jakiej potrzebuje sternik zmierzający do portu na rozbitej barce.

Bo i gdzież w rzeczy samej ta przystań dla mnie? Zapewne tam... wysoko, gdzie miryady światła jaśnieją. Wszak wygnaniec wszędzie na ziemi jest sam! Kto raz swój kraj opuści, najczęściej już doń nie ma po co wracać.

Taki był natłok mych melancholizno-religijnych dumań u stóp dziewicy.

Wzrok miałem wlepiony w rozpostarte płótno, na którym Rafael wydał ideał najwyższego piękna, ideał boskości, niepokalaną matkę, która gorycz boleści poznała, królową nieba, królową niewiast, taką, jaka się objawiła jego gieniuszowi.

Madona w orszaku aniołów, śpiewających pieśń wesela, wiekuiestej miłości, zstępuje z czystych niebios na świat pograżony w chmurach. Wiatr unosi jej zasłonę i leciuchne szaty. Na rękę trzyma dziecię, którego spojrzenia lubo przychodnia witają — a szafirowe oczy niebianki pałają nadprzyrodzoną potęgą i mieszczą tyle myśli i tyle uroku, że ten, kto raz w nie spojrział, całą w nich utopił duszę.

Druga Madona — arcytwór nieszczęśliwego Corregia, co nieuznany zwątpił o swoim talencie — nosi na jasności oblanem licu cechę rajskiej słodyczy i łagodności, pośród malowniczej grupy Magów, przyprowadzonych przez cudowną gwiazdę ze Wschodu.

Trzecia zaś, w złotej koronie holbeinowska blondyna, z rozpuszczonymi włosy, ze swoją powagą, dość dobrą tuszą i rumianami jagody, jest więcej filozofką, niż artystką; wzbudza cześć, podziw, ale nie pociąga.

X.

TEŚKNOTA.

Czy wy wiecie, o narody!
Którym świeci dola złota,
Ile w jednym słowie takim
Wre mąk? — Trzeba być Polakiem,
Aby znać, czem jest tęsknota.

Pomimo karmu dla wiedzy, pomimo cudów natury i osobliwości, jakie się napotyka w najludniejszej w Europie, romantycznej nad Elbą krainie, smutki postępują tam za wędrowcem, tak dalece czuje on się być samotnym wśród tysiąca istot, podobnych ciałem do niego.

Błądny wygnaniec przesuwają się wśród tej obczyzny, jak cień pokutnika, który zerwał ze światem, a dręczony tęsknotą, wydobył się jak Alceste z królestwa umarłych,

i przybył jeszcze raz milczący, osłonięty, pomiędzy ludźmi.

Wszystko naokoło niego oddycha szczęściem, słyszy radośną wrzawę przyjaciół, na ich czołach jaśnieje spójność i wesele, związki rodzinne i sercowe kojarzą tych, na których patrzy; jego tylko nikt nie rozumie, nikt nie nazwie swoim synem, swoim bratem; on tylko jest bezdomnym i opuszczonym.

I przyszłość jego niepewna, nic o niej wyrzec nie potrafi, i myśli jego i życzenia zbłąkane — odkąd pozbawiono go najdroższego prawa człowieka: oddychania powietrzem rodzinnym!

Tęsknota! — to ocean wrący mękami — to wyraz, który na żaden język przetłumaczyć się nie da.

Jeżeli Syberaki, katorżnicy, posieleńcy i żołdaci są narażeni na moralną śmierć dla braku duchowego żywiołu; to też i wychodźcy, co uszli rąk zawistnego cara, wolni na pozór, wymierają z tęsknoty.

Są to dwie odmienne dole jednego i tegoż samego nieszczęścia rozkrzyżowanej Polski.

Nie wie co czyni ten, kto urąga tak ogromnemu nieszczęściu, kto bluźni przeciw dotkniętym tęsknotą za krajem.

Rozstawszy się z madonami, poszedłem odprawiać medytacye na wyniesiony nad rzeką taras brylowski.

Pulchniutki Niemki już to z robótkami w rękach, już spożywające ciasteczka, siedziały na ławach. Pomieściłem się między nimi, a nie znając ich mowy, patrzyłem w milczeniu na Elbę, płynącą spokojnie ku swemu przeznaczeniu, jak błogi żywot człowieka.

Przybywające parochody zabierały jednych, a wysadzały na brzeg drugich podróżnych. Zalatywał ztamtąd gwar, który ucichał w miarę jak się oddalały, aż nareszcie roztopił się w ogólnym zgiełku miejskim.

Tymczasem tarcza słoneczna chowa się zdaleka poza szczyty skał Szwajcaryi saskiej. Jedna z nich, pierwotna córka potopu, uwydatniona niby pomnik na kanwie złocistej; a woda przybiera barwę fioletową z żółtymi smugami.

Ale tło płomieniste zachodzącego słońca blednieje. I rozpoczyna się koncert, złożony z żab i owadów ukrytych w zaroślach, nareszcie gwiazdy zaczynają przegłądać się ze drzeniem w stalowem wód zwierciadle.

Gdy obejrzałem się na stronę, sąsiadek, co robiły pończochy, już nie było, śnać się obawiały kataru nieboraczki; lecz natomiast światełko zabłysło z wieży katolickiego kościoła, rysującej się fantastycznie na ciemnych niebiosach.

To światełko dotąd mi w głowie.

Przypomina mi ono zawsze mieszkanie astrologa w Notre-Dame paryskim.

Szczęśliwy człowiek, rzekłem, co chociaż na wieży ma dla siebie kącik i światło na rozkazy, a może i psa, wiernego przyjaciela przy swym boku!

Potem rozgorączkowana myśl pierzchła, uleciała ptaszęciami pióry gdzieś nad poziomy, w światy odległe, w jakieś nieznanne przestrzenie, na których księżyc i gwiazdy gasły.

Pędziła nad czarnymi przepaściami, nad wąwozy i góry lodowate. Ztamtąd przeskoczyła morze i tarzała się w gorącym piasku Sahary, wspinała na obeliski cmentarza Egipcyan; nareszcie wzbila się w obłoki pomiędzy błyskawice i krzyżujące się pioruny.

I nagle chmury żeglują pod moimi stopy!...

Ale otóż myśl zawraca w inną stronę, i bujam z nią hyżym i lekkim cugiem nad rozhukanym Atlantykiem.

Dziwolągi i ptaki białe chwytają pluskające się ryby na spienionych falach i ze zdobyczą fruną.

Raptem popchnięty nad wodospad Niagary, przypatruję się ciemnym stropom skał; a one spoglądają na

się u wybrzeży, jak szczerbate widma w straszliwym milczeniu. Wodnisty bałwan szklisto-zielonkowatego koloru pada pomiędzy niemi siłą i łoskotem, a ład drzy w posadzie. Zawierucha śniegowa zmieszana ze szmaragdami pokrywa bezdenną otchłań, niby fałdująca się draperya z muślinu.

Tam dalej dziewicze lasy Ameryki, gdzie jeszcze nie postąpiła noga człowieka i niszcząca dłoń władzy swej nie wywarła! Wtajemniczam się w dzieje i prawa przyrody.

Czuję się być w szale jakiegoś niewymownego uszczęśliwienia, z powodu mojej bezwzględnej swobody.

W okopconych niegdyś ścianach było mi ciasno i duszno, jak w mogile. Teraz nic mnie nie krępuje: ani przedmioty ni ludzie z ich nędznymi prawami, przesadami, obłudą i złośliwością; ani rządy ni służalce.

Jestem sam! wyłączne dziecię Boga, i ustronie do mnie należy dla szczęścia mojego.

Precz mi z ziemskimi żakami, stworzonymi do wolności, a dającymi głowy pod kolczastą obróżę! Precz Faryzeusze uchodzący za świętych! precz frymarze i cynicy! kamienujący bliźnich, których nie możecie przykroić do ramek swoich.

Dalej na drugą półkulę wyzwolonego z więzów niewoli świata...

Bądź zdrow stary grzybie, pokryty skorupą pleśni, w której rusza się żarłoczne robactwo!

I nie wiem kiedy pośród chaosu tych i tym podobnych mrzonek zstąpiłem z olbrzymich kamiennych schodów tarasu, nie wiem, jak przebyłem środkową dzielnicę grodu i dostałem się na Prager Strasse — to tylko pamiętam, że śmiechy i szczebiotanie polskiej mowy naszpikowanej francuzczyzną wywiodło mię z zamyślenia, jak owego lunatyka, co się ze snu ocknie i powraca do świata rzeczywistego, gdy na niego zawołają po imieniu.

Zwróciłem się tedy ku ogródkowi za żelaznymi sztachetami, z kąd dochodziła wrzawa.

Roskoszne Polki, strojne w balowe suknie, stały w nieładzie na balkonie, używając wytehnienia po tańcach; a czubaty we fraczku fircyk z rękami w pantalonach, bawił je tuzinkowymi conceptami, co to się sprzedają jak precelki po groszu.

Przystanąłem w cieniu na chodniku i długo się tej szacownej grupie rodaków, rezydujących za granicą, przypatrywałem.

Komedia odgrywana z gimnastyką przez młodego faceta, a zwracająca uwagę przechodniów, wyraźnie zachwycała piękne damy. Nieszczęśliwie też powziąłem wyobrażenie o owych paniach, których natura tak dalece nie cierpi czczości, iż otaczają się podobnymi indywiduami, i których życie całe jest jednym ciągłym balem na obczyźnie... za polskie pieniądze—resztki zubożonej ojcowizny, przechodzącej w posiadanie żydów.

Podobne obrazki przedstawiały mi się i później, po powrocie z Ameryki — i zawsze je w Dreźnie bezpłatnie

widywać można — jestto bowiem bazar, gdzie matki zwożą swój drogocenny towar ze wszystkich części dawnej Rzeczypospolitej polskiej, aby go spieniężyć jak najprędzej.

Saksonia ma ten przywilej, że w Lipsku odbywa się corocznie sławny jarmark w lecie na książki i inne produkty; w Dreźnie zaś zimą wyłącznie na panny, rasy słowiańskiej.

Kawalerowie Sarmaci, co szkół nie skończyli, a ich osób szkoły ukończyły, przywykli jeździć na wszystkie kuligi, jarmarki, odpusty i zabawy, a których żywot był ciąglem przygotowywaniem się do stanu małżeńskiego, zjeżdżają nakoniec i do Dreznia, bo tam na nich czeka ostateczna kotwica przyszłej szczęśliwości.

Taki „epouseur“ wchodzi na salony; matrony popierają go w zamiarach, bo jakże nie pomódz kawalerowi dobrego tonu, biedniatku, należącemu do ich kółka?

Utrefiony adonis przedstawia się wreszcie chwackiej dziewczoi, co wdycha do życia praktycznego, i póty oboje grają w ciuciubabkę, dopóki jedno drugiego nie złapie.

Rodzice nie wątpią o wysokim rozumie i charakterze zięcia. A narzeczona! ba!... wdzięków widzialnych i niwidzialnych co nie miała, a cnót jeszcze więcej.

Zas o majątku wcale się nie gada, bo to nie skromnie. Pan młody nie źle się prezentuje — rozumie się, że ma dobra... w Galicyi. A ona!.. co za wystawa... jakie w domu przyjęcie... panna służąca, pokojówka i dwie młodsze furtuszkowe... a co za srebra i brylanty... papa płacił wczoraj kuponami rachunek krawiecki... tam ogromne są kapitały w gotówce, lub na banku angielskim, nie podpada wątpliwości!

Następują ślubne gody.

Zdarza się, że nowożeńcy po ślubie przechadzają się w szpalerach grosgartenu z jakąś bardzo kwaśną miną, nie do pozazdroszczenia — ale po cóż jeździli na swaty aż pomiędzy szwabów? po co bawili się w zagadki i szarady? Jedno drugiemu niepowinno więc mieć do wyrzucenia, jakieby tam interesa nie były... Stało się mościa panno!... Schowaj do kieszeni co wiesz i co dostaniesz, mój miły panie!... Oto sens moralny wzajemnej loteryi.

Takie oszukiwanie się zakulisowe na cudzoziemskiej targowicy możnaby policzyć do zasłużonych kar bożych. Widziałem bowiem w części miasta arystokratycznej w Dreźnie cienie wijących się skocznych kręgów i sylwetki nadobnych biesiadników na szybach kryształowych; słyshałem, jak trzeszczała posadzka w najętych przez naszych turystów salach, z zadziwieniem Niemców kiwających głowami z drwiącą miną na placach — gdy jednocześnie kroczyła o głodzie trotoarem garstka ziomek niedobitków, ściąganych przez mściwych Bergów i wieszateli Murawiewów.

W sakwach owych męczenników była krwią zbroczona garść ziemi ojczystej, aby nią zimna dłoń cudza przysypała im piekło od łez źrenice.

Zaledwie dozwolono im dotknąć stopą dziedziny Sasów — gdzie w przeludnieniu psy zaprzężone do wozu ciągną ciężary, bo koni nie ma czem żywić; gdzie za mało miejsca na kartofle, cóż dopiero na ludzie!

A jednak brzmiała wesoło huczna muzyka i gorzały rześiste światła w pałacach hulaszczyc szlachciców naszych rycerstwa dawno nierycerskiego.

Czemuż raczej nie pozatykaliście okien mataracami!..

Zaprawdę, gdzie serca nie ma, gdzie nie ma Polki, tam nie ma i Polski!.. tam finis Poloniae! gorzej niż pod Maciejowicami.

Jesteście urodziwi, bogaci, tytułowani, zręczni, jesteście wszystkim, czem chcecie! lecz nie nazywajcie się Polakami ani chrześcianinami, bo tymi nie jesteście. Tymi nie mogą mianować się osobistości, które straciły najgłośniejszą ze świętych spuścizn narodowych — braterstwo! Bóg zagładzi ich pokolenie, bo tak napisano w prawie odwiecznym, i poucza nas tego wielka księga doświadczenia: historia. Nim to jednak nastąpi, ileż one wyrządzą szkód z krzywdą cierpiącej ludzkości!

W dalszym ciągu podróży przez Saksonię zatrzymałem się przed klasztorem pośród łańcucha lesistych pagórków, gdzie flet pasterski, ryk zrzędnej krowki i grzechotka na jej szyi urozmaicały żywą sielankę. Tam i owdzie piętrzyły się masy opoki, w której przyroda potworzyła mnóstwo malowniczych jaskiń.

Zbliżywszy się do furty, pociągnąłem za taśmę od dzwonka, a gdy się jedna z podwoi rozwarła, wstąpiłem do sklepionego korytarza i zapytałem stojącego braciszka w kapturze:

— Czy wielbny ojciec Polak, któregom tu poznał przed kilku laty, jest jeszcze w tym klasztorze?

— Ksiądz Gaudenty?.. Przeniósł się już na mieszkanie do niebios... a wszyscyśmy go tutaj tak kochali! — odpowie spokojnie mnich z oczyma wzniesionemi.

Żal mi się zrobiło pocziwego staruszka. Należał on — o ile sobie przypominam — do reguły Ignacego Lojoli, a losy rzuciły go pomiędzy zakonników niemieckich. Gdy mię pierwszy raz ujrzał i dowiedział się, że emigrant: Rewolucyoniści! — zawołał z goryczą — nic dobrego! zapominacie o Bogu, a gubicie Poskę.

A po tem przywitaniu zaprowadził na śniadanie do refektarza i posadził obok przeora, bardzo sympatyzującego dla sprawy narodowości naszej, tudzież dającego mi oznaki szczególniejszego poważania.

Czuję dotąd gorącą łzę pożegnalną małego ze srebrnym włosem ziomeka, i słyszę słowa błogosławieństwa, z któremi mię niegdyś wyprowadził za szare mury swojego schronienia.

Czyż ten krótki rys nie obejmuje obszernych dziejów duchowieństwa polskiego?!

KONIUCHA.

(Str. 402)



Rysunek Karola Młodnickiego.

Koniucha.*

Z tłumaczeń Szopena. (Dzieło 33, mazurek 14.)

KONIUCHA.

Mgła płynie po błoniu,
Ja siedzę na koniu
I smutny i sam —
Las powtarza: sam!
Ona tam
Z swym ułanem
Gardząc mną
Sunie tanem —
Oh!...

Od żalu aż pęka
Fujarka maleńka;
A obrzydłe to karczmisko
Tu mi niesie na pastwisko
Brzęki swe,
Głosy swe,
Huki swe,
Złe! złe!

Słowikowie leśni
Znają moje pieśni,
Zawodzą w mój płacz —
Las powtarza: płacz!...
A ty skacz
Z swoim zuchem,
Choć mój szloch
Nad twym uchem —
Oh!...

Gorzej moje serce
Pęka w poniewierce;
A obrzydłe to karczmisko
Tu mi niesie na pastwisko
Brzęki swe,
Głosy swe,
Huki swe,
Złe! złe!

PIEŚŃ UŁANA (w karczmie)

Ułan ja, kręcę sobie wąż;
Panno drzyj, gdy cię biorę w płas!
Idę w szturm, krew jak trąbka gra,
Całus daj, nim go kulka da.
Z księżyny nic sobie nie rób,
Hej, księżyc da nam srebrny ślub!..

KONIUCHA.

Zgasła jasność żywa,
Spada noc senliwa,
Śmierć to dłuższy sen —
Las powtarza: sen!...
Ułan ten
On żyć będzie,
Skusi ją
I zdobędzie —
Oh!...

Był czas, że w mej głowie
Grali aniołowie;
Teraz karczma huczy, śpiewa,
I do głowy mej nawiewa
Myśli te,
Męki te,
I mgły te,
Złe! złe!

Świeci w łące struga,
Mruga do mnie, mruga,
Wskazuje gdzie staw —
Las powtarza: staw!...
Ty mnie zbaw
Chryste Panie,
Bo mi strach,
Co się stanie —
Ach!...

Co ma upaść, padnie —
Cicho w stawie na dnie —
A tu karczma huczy, śpiewa,
I do głowy mej nawiewa
Myśli te,
Męki te,
I mgły te,
Złe! złe!

PIEŚŃ UŁANA (w karczmie)

Ułan ja, chorągwiany pan,
Pójdę w śmierć, tak jak idę w tan,
Łaskaw mi będzie święty Piotr,
Szablę miał, a toć on mój kmotr.
Kapłanie zzymaj się i skrzecz —
Hej kapłon! to mi dobra rzecz.

*) Noeny dozoreca pasących się koni.

DZIEWCZYNA

(uciekająca z karczmy)

Panno święta! w twoje ręce
Składam los mój cichy;
Byłam w trwodze, byłam w mecie,
Kusił mnie wąż lichy.

Wyskoczyłam jak z płomieni
Z rozpaloną głową;
Ale wszystko to się zmieni,
Bo mi w duszy zdrowo.

Panno święta, mądra matko!
Poradź mi sierocie;
Wychowałaś ty mnie gładko
W ubóstwie i cnocie.

Pragną kwiatki rosy z nieba,
Sercu pustka wrogą;
A mnie młodej męża trzeba --
Kogo mi dasz, kogo?

Kto ze świtem już mnie szuka?
Ot i mocniej serce puka —
Ten na błoni
Stróż od koni,
Co tak łzawo się uśmiecha.

r. 1870.

Choć on milczy, choć nie gada,
Niech wie ziemia, zem mu rada,
Że go lubię
I poślubię —
Wtórzcie echa!...

KONIUCHA.

Poszła spiewająca
Przy blasku miesiąca,
Za nią pewnie on —
Las powtarza: On!...
Po mnie dzwon
Wnet zapłacze;
W niebie ją
Czy obaczę?
Oh!...

Śmierć kiedy nadchodzi,
Każden ból łagodzi;
I mnie goi serca ranę.
Bądźcie błogo pożegnane
Piękne sny,
Krwawe łzy,
Ach, i ty!
I ty luba,
Moja zguba!...

Dzwoń, dzwoń, dzwonie, dzwoń!...
Hej! koniu, nieś mnie w toń!

K. UJEJSKI.

KTÓŻ ON JEST CZYLI: NIEPROSZONE LICHO.

HUMORESKA

przez WINCENTEGO SZARŻĘ.

(DOKOŃCZENIE).

VIII.

Wykonanie spisku.

— No chodź, chodź uparty koźle, przecież tu nie zginiesz.
Temi słowy Aurelia zapraszała do wejścia Pawła,
który opierając się bełkotał:
— Ale bo, gdyby pan Rzeszotko zobaczył...
— Słuchaj Paweł, wleziesz pod stół.
— To jakaś sowa; na co mu wiele gadać — przerwał
Alfred — Wleż pod stół!
— Ale kiedy... ekskuzował się Paweł, drząc ze strachu
na całym ciele.

Wogóle można powiedzieć, że powierzchowność
Pawła nie nadawała się do ról pierwszych kochanków.

— Wleż pod stół — wołała Aurelia — a wyleziesz
kiedy zechcesz.

— Wolalbym wyleźć, zanim wleżę.
— Albo czekaj dotąd, dopóki nie dam ci znaku nogą.
— A moja Aureliu — odpowiedział Paweł, wyszczerzając
dwa rzędy wielkich żółtych zębów — jeżeli nogą, to
i owszem.

Paweł wlaź pod stół, na którym rozpostarta serweta,
spadająca aż do podłogi, bezpiecznie go ukryła.

— Widzisz, zaczyna już być zalotnym — rzekł Alfred
przypatrując się z politowaniem Pawłowi. — Ja teraz udam,
że wychodzę, i skryję się za franke, a ty rozpoczynaj
tymczasem kampanię.

Alfred postąpił głośno kilka kroków ku drzwiom, otwo-
rzył je, zamknął, i udał się na swe stanowisko za franke.

Gdy się to stało, bocznymi drzwiami wszedł pan
Kalasanty.

— Cóż wyszedł? — zapytał się Aurelii.
— Zaledwie dał się wyprosić — odpowiedziała Aurelia, doskonale odgrywając swoją rolę.

— To bałwan jakiś!

O mnie mowa — pomyślał sobie Alfred.

— Ależ śmieszny — odezwała się Aurelia.

— A co? śmieszny? prawda mój gagatku? Ciebie co śmieszne to bawi, moja ty synogarlico! — mówił Kalasanty pieścizowtliwym głosem, szczypiąc po twarzy Aurelię.

— Że też pan od tego powstrzymać się nie może.

— Jakże chcesz, w moim wieku?

Gdyby też wiedział, że ja tu jestem — pomyślał sobie Paweł w ukryciu — dałby mi... dałby...

Rachuba Alfreda na obudzenie zazdrości w Pawle pomyliła zupełnie.

— A gdybym ja był taki firecykowaty — ciągnął dalej Kalasanty ruchliwy — gdybym tak skakał, śmiał się, co? tobyś ty mnie kochała?

Paweł pomyślał wówczas sobie: Po co oni mnie tu wsadzili?

— Żybyś pan był młody... mówiła Aurelia.

— Eee!... mrucał Kalasanty.

— Nie tak łysy...

— Aaa!...

— Tabaki nie zażywał...

— Hum...

— Nie taki stary, brzuchaty, bezzębny...

— No, no, to już przesadzasz.

— Żeby koście nie trzeszczały, jak osie u wozu nie wysmarowane smołą...

— No no, ty mała oso — przerwał Kalasanty, uważając, że Aurelia żarty za daleko posuwa.

Pawłowi siedzącemu pod stołem przezwisko osy niezmiernie się spodobało; przy tej okazji ślubował sobie zawsze Aurelią tak nazywać.

— Gdybyś się w takim, jak mówisz, kochała — ciągnął dalej pan Kalasanty — to byłoby dla ciebie bardzo źle; ludzie młodzi widzisz, są niestateczni, niestali, dziś ta, jutro ta, dziś jest, jutro go nie ma, ot tak fiu! a ludzie w moim wieku gdy kochają, to już kochają stale.

— Jak też pan nie wstydzi się to mówić! — odpowiedziała Aurelia.

— A gdybym się też z tobą ożenił — he?

— Nie wierzę.

Aurelia w tem miejscu uważała za stosowne kopnąć Pawła, dając mu tym sposobem hasło do wyjścia. Paweł, w którym obawa pana Kalasantego przemogła nad zazdrością, nie miał zbyt wielkiej ochoty do opuszczenia swego stanowiska. Mówiąc prawdę, podobno tej zazdrości wcale nie było, i Paweł nie mógł wytłumaczyć sobie celu, dla którego pod stołem go umieszczono.

Kopie już — mówi do siebie — Co za ładna nóżka! wolę

patrzeć na nią, aniżeli narażać się jeszcze na kije wyłażąc.

Tymczasem kopanie w stosunku prostym do natręctwa pana Kalasantego zwiększało się. — Paweł do pewnego czasu znosił cierpliwie te ataki, likwidując sobie ból widkiem pięknej nóżki; lecz naraz Aurelia obcasem trzewiczka silnie go uderzyła w żebro. Atakowany zapominając już o niebezpieczeństwie z bólu zawołał:

— Aj! aj! nóżka bo nóżka, ależ kopie! Aj! aj! bok, bok!

Pan Kalasanty zajrzał pod stół.

— Co ty tu robisz łajdaku! — zawołał.

— Ja nie... nie... tylko noga — tłumaczył się Paweł wyłażąc z pod stołu i trzymając się za bok.

W tej chwili i Alfred wyszedł z swego ukrycia.

— I pan śmiesz jeszcze tu przychodzić? — zawołał w gniewie Kalasanty.

— Nie przychodzę, gdyż ciągle tu jestem — odpowiedział Alfred.

— Jak pan śmiałeś!?

— Tym samym czołem, jakim pan śmiałeś durzyć biedną dziewczynę.

Tymczasem Aurelia podzegała Pawła do gniewu:

— Gniewaj się! — wołała.

— Ale jak? — pytał się Paweł wyłupiwszy niebieskie oczy pełne niemego podziwu.

— Udawaj, że się gniewasz... no... no! krzycz: wyzywam pana, wyzywam pana!

Paweł mimowolnie wrzeszczał zachęcony:

— Wyzywam pana, wyzywam pana!

Teraz i Alfred wziął na siebie funkcję suflera; słowa podpowiadane przez Aurelią i Alfreda powtarzał rad nie rad Paweł.

— Zasadzki na moję kochankę!.. to się nie godzi!.. Wyzywam na pistolety... Teraz jestem rozgniewany, rozwścieczony... wychodzę, wychodzę — ale za godzinę tu będę, będę, będę!..

— I walka na śmierć — podpowiadał Alfred..

— Śmierć, walka, śmierć!.. wykrzykiwał Paweł.

— Wyjdź teraz — podszeptnęła Aurelia.

— Wyjdź! wychodzę!.. krzyczał Paweł wychodząc.

Wśród wrzawy, hałasu ztąd powstałego, pan Kalasanty nie mógł zebrać myśli; dopiero gdy się uciszyło po wyjściu Pawła, mógł się opamiętać.

— A to kara jakaś spadła na mnie z tymi ludźmi! nie dotąd nie rozumiem — a spostrzegłszy Alfreda zawołał: To pan jesteś przyczyną tego wszystkiego, buntujesz mi kucharki, służbę, pan siejesz niezgodę w mym domu. Kto pan jesteś!?

— Jestem Nemezys — odpowiedział Alfred z powagą, która zbiła z toru pana Kalasantego, tem więcej, iż nie znał znaczenia tego wyrazu.

— Tak, jestem Nemezys, jestem moralnym porządkiem świata, co mści się nad gwałcicielami jego!

— Co on mówi! co on mówi! — skrobiąc się w łysinę wołał zacny Rzeszotko.

— Pan czyhasz na cnotę biednej dziewczyny — mówił dalej Alfred — zamiast zasiewać między swą czeladką cnotę, to ją psujesz, zamiast umoralniać, to ją demoralizujesz. Drzyj pan przedemną!

Z temi słowy Alfred wyszedł.

E! widoczna to, waryat — pomyślał sobie pan Kalasanty po jego wyjściu.

— Aurelcu? zrozmiałaś co z jego słów? — a potem dodał: Trzeba sobie zanotować Nemezys i spytać się córki.

— Odgrażał się — mówiła Aurelia.

— Odgrażał się? Powiedziałaś, że wyszedł, a on tu był ukryty.

— To jakiś czarodziej, widziałam go wychodzącego.

— Oknem wleźć nie mogł, to dziwna! A co ten Paweł tu pod stołem robił?

— Bo on się we mnie kocha, to może...

— Kocha? A co krzyczał? bo w tym hałasie nic a nic nie zrozmiałem.

— Wyzywał pana na pojedynek, na pistolety.

— Zwaryował!

— Ooo! on nie zwaryował, tylko zazdrosny o mnie. Ma przyjść za godzinę z pistoletami.

— Nie! to waryat! — wołał pan Kalasanty. — Tamten jakiś czarodziej włazi dziurką od klucza... a ten waryat... Dom mi na głowę się zawala.

IX.

Nie koniec na tem.

W tej chwili wpadła panna Eleonora strwożona z okrzykiem:

— Papo, papo! ten pan, co pod oknem ciągle chodził, teraz mnie spotkał na ulicy i odprowadził do domu.

— No i cóż?

— Ale nie dość na tem, jeszcze tu idzie. Takem strwożona!

— Co? on śmie jeszcze! Ha tego za wiele! Poczekajcie!.. albo nie... chodźcie... chodźcie!.. Aurelia chodź tu!

Pan Kalasanty porwał Eleonorę i Aurelię za ręce i wciągnął za sobą do bocznego pokoju zamknąwszy drzwi.

Gdy wszedł Alfred, nikogo już nie zastał; był wzruszony i rozpromieniony jak człowiek, który jest blizkim celu swych dążeń.

Widziałem ją — mówił do siebie pogrążony w myślach — jakże ona piękna! Och, gdyby dusza jej taką była! Była strwożona... ach! jaki ja niedobry, z mojej przyczyny — ale ta obawa dziewczica ileż jej wdzięku dodawała! Troszkę dla mnie obojętna, zimna, no — ale nic dziwnego, w awanturniczy sposób wkradam się do tego domu. Lecz jestem

wytłumaczonym. Od dwóch tygodni suszę głowę, jakby się zapoznać. Rzeszotko z córką nigdzie nie bywa, żyją samotni, zamknięci w domu.

Wśród tych rozmyślań Alfred popadł w usposobienie rzewne. Natyry kochające lubią muzykę, fortepian stał pod ręką, dlaczegożby nie pozwolić wywnętrzyć się uczuciom. Alfred siadł do fortepianu, a wskutek silnych wrażeń dnia tego również silnie kilka akordów minorowych uderzył. Na fali tonów nadpłynęła upragniona wieszczka róż, albo mówiąc prosto, wpadła panna Eleonora w towarzystwie ojca z okrzykiem:

— Fortepian świeżo nastrojony!

— Za nastrojenie którego 5 zhr. gr. 10 zapłaciłem — zawtórował rozpaczliwym głosem pan Kalasanty.

— Panie, to niegrzecznie.

— Wybacz pani — mówił Alfred wstawszy — lecz nie miałem najmniejszego zamiaru ją obrazić, a jeśli mimo-wolnie mogłem ściągnąć na siebie jej niechęć, to nieskończenie za to przepraszam i błagam o przebaczenie. Przedewszystkiem winienem się pani przedstawić: Jestem Apstrifikultifikiewicz, mieszkam na Starem Mieście nr. X. piąte piętro. Dumny jestem dawną znajomością z ojcem pani.

— Ależ to fałsz! — zawołał z całego gardła pan Kalasanty.

— Panie — przerwał mu pocichu Alfred — jeśli jednym słowem zaprzeczając mi będziesz, odkryję przed córką twoje zamachy na Aurelię.

A bodaj cię djabli!... pomyślał pan Kalasanty, nie bardzo rad wykryciu tajemnicy.

— Tak pani — mówił teraz Alfred bez przeszkody — jestem już starym przyjacielem pana Rzeszotki, i jeśli dotychczas nie jestem znany pani, to wina mego kochanego przyjaciela, który zaniedbał przedstawić mnie.

Panna Eleonora spoglądała na ojca, oczekując z jego strony potwierdzenia słów Alfreda; jednocześnie Alfred utopił groźny wzrok w malutkich oczkach pana Rzeszotki, dając mu do zrozumienia zamiar zdradzenia tajemnicy w razie odmownej odpowiedzi.

Rad nie rad pan Kalasanty z niechęcią wybałał:

— Znam tego pana... aaa!.. znam już bardzo dawno, tak że zupełnie o nim zapomniałem.

— Powiedz pan, że jestem jego przyjacielem — szepnął Alfred.

— Panie!

— Bo tajemnicę zdradzę.

— To, mój dawny przy... przyjaciel.

— Aaa! bardzo mi miło — odpowiedział Alfred ściskając rękę Kalasantego, nawzajem Kalasanty z całych sił uściskał rękę Alfreda.

Alfred mówił:

— Sądzę, że będąc przyjacielem ojca, zyskam przyjaźń, jeśli tylko przyjaźń córki.

— Panie! — odpowiedziała Eleonora — kłaniając się Alfredowi.

— Pani — odpowiedział Alfred — kłaniając się Eleonorze.

Bodajcie kaci porwali! — pomyślał sobie Kalasanty.

Tymczasem Alfred utopił czuły wzrok w oczach panny Eleonory.

— Od pierwszej chwili, gdy panią ujrzałem, jakieś niewysławione uczucie ogarnęło moją duszę...

— Czy być może? Jakże pan jesteś szczerym.

— Tak! uczucie to wzmagało się potężnie, obraz pani tak mnie prześladował...

— Prześladował?..

— Źle się wyraziłem, wybac mi pani, miałem na myśli, że obraz pani ciągle, bezprzestannie miałem przed swymi oczyma, myśl moja ciągle nią była zajęta. Często siedząc w domu, zrywałem się i biegłem tu pod okna na ulicę, jak duch błądziłem, by tylko ujrzeć panią, by rokoszować się tym czarownym wdziękiem, co maluje się na jej twarzy! Dziwnym się wydam z swoją szczerością, lecz jam temu nie winien, wina raczej spada na panią, na jej piękność. Dlatego to wdzieram się tu do domu państwa, przypominam się panu Rzeszotce, który o mnie zupełnie zapomniał, walkę wypowiadam formom etykietalnym świata, i oto jestem u nóg twoich pani.

Waryat — zakonkludował w myśli pan Kalasanty.

— Więc cóż? — spytała zimno panna Eleonora.

— Przyszedłem więc, by się jej przedstawić, by odkryć przed nią uczucie, które mnie pożera, i dowiedzieć się, czy miłość moja otrzyma ze strony pani wzajemność.

Formalne oświadczyły — pomyślał Kalasanty.

Panna Eleonora zmierzyła Alfreda od stóp do głów i spytała:

— A kto pan jesteś?.. pan jesteś bogaty?

Alfred uczuł wrażenie, jakiego doświadcza się pod prysznją po wyjściu z łaźni.

— Kto pan jesteś? — nalegała panna Eleonora tupiąc nóżką z niecierpliwości.

— Jestem biedny, nieznany, u nóg twoich pani nic innego złożyć nie mogę, prócz miłości czystej, gorącej, niewinnej.

— Pan nic nie masz! — zawołała z oburzeniem Eleonora zadzierając noska.

— Nic, prócz tego, co mam na sobie — omnia mecum porto.

Jakiś filozof, po łacinie gada — pomyślał sobie pan Kalasanty.

Nagle panna Eleonora spostrzegła złoty łańcuszek od zegarka.

— Czy ten łańcuszek złoty? — zapytała.

— Niestety! — odpowiedział Alfred — tombakowy i nie mój, pożyczyłem go od przyjaciela, wybierając się na wizytę do państwa.

— Fi! — zawołała z lekceważeniem Eleonora.

— Może i ubranie pożyczone? — wtrącił Kalasanty.

— Miejscami moje — odpowiedział Alfred.

— I on o mojej córce myślał! — wołał z oburzeniem Kalasanty. — Ona dostanie męża, co będzie miał powozy, konie..

— Naturalnie — zawtórowała Eleonora — bo mi się sprzykrzyło piechotą chodzić... powóz... konie...

— Jak to ona mnie pojmuje! Moja nieodrodna córko, pójdź w moje objęcia!

Tu pan Kalasanty serdecznie uściskał swą córkę.

— Pani — mówił Alfred — nie mogę uwierzyć, by tak piękna i młoda, jak ty pani, nie wzbudziła w sobie miłości bezinteresownej...

Naiwny sobie myślała Eleonora.

— Czyż nawet i wtenczas nie wzruszyłoby się twoje serce, gdybyś młodego człowieka, kochającego ciebie, ujrzała z rozpaczy umierającego u twych stóp?

— Cóż jabym temu była winna?

— Waryat, waryat — wołał pan Kalasanty teraz więcej aniżeli kiedykolwiek ugruntowany w swem przekonaniu. — Bardzo proszę pana wyjść. Aurelcia, poświęć panu!

— O panie — mówił dalej Alfred — ja jestem tym biednym człowiekiem, co wśród zimnoty tego wieku szuka miłości czystej, gorącej, dziewiczej! O wierzaj mi pani, szczęście nie na powozach, bogactwie, koniach polega, to wszystko fraszki; szczęście polega na wzajemnej sympatii, na wzajemnem dzieleniu życia w zgodzie, w zrozumieniu się. O wierzaj mi pani, takie życie nazwać tylko można niebem, i takim ono jest w rzeczywistości.

E! on gorszy moją córkę wpajaniem takich mrzonek — pomyślał sobie pan Kalasanty.

— O pani, to jest moje ostatnie słowo, które z ranionem sercem, z zawiedzioną nadzieją wypowiadam. Kocham cię, kocham więcej aniżeli sądziłem — o! nie odpychaj mnie od siebie! spojrzuj, kłęczę u twych stóp i błagam litości!

Pan Alfred mówił to z całym przekonaniem.

Na to pan Kalasanty zawołał:

— To waryat! Chodź córko.

Poczem pochwycił Eleonorę za rękę i wyprowadził do bocznego pokoju.

No, żeby kto mnie tak prosił — pomyślała sobie Aurelia — tobym rozplakała się jak dziecko, ale ta nie-dobra panna Eleonora...

— O XIX wieku! o martwoto serc! — zawołał Alfred zostawszy sam — mumie wygorsowane, wyperfumowane, wykokowane, zimne jak groby! czuć od was chłód mimo tych pachnideł. Kok wasz przypomina mi worek na pieniądze. Skarżycie się na młodzież, na ich gonienie za posagami, na ich interesowność — a sameż lepszemi jesteście?.. Pieniądze, złoto, interes... a miłość to fraszki, a czyste dziewicze uczucie to żart! O, jakże to boleśnie!

Powiedzieliśmy, że pan Alfred miał dwie chwile w życiu swoim: chwile powagi i smutku—i chwile wesołości i szału. Obecnie pan Alfred był bardzo poważnym.

Pan Kalasanty po odprowadzeniu córki uważał za stosowne pojawić się w salonie. Alfred pochwycił go za rękę wołając:

— Pan mi za wszystko odpowiesz, jesteś złym człowiekiem, wpajasz w córkę zasady niemoralne, obudzasz w jej sercu żądzę zysku, pan jesteś...

— Dziwi mnie pańskie dzieciństwo — odpowiedział Kalasanty — i nie widzę przyczyny, skoro pan usłyszałeś odmowę z ust mojej córki, nie widzę, powtarzam, przyczyny, dla której miałbyś pan tu dłużej pozostawać.

Następnie zwrócił się do Aurelii:

— Aurelcia, podaj kolacją!

Aurelia nakryła stół, wniosła jedzenie. Tymczasem Kalasanty i Alfred chodzili po stancyi wielkimi krokami, niekiedy w roztargnieniu wpadając na siebie.

— Eleonoro! na kolacją! — wołał pan Kalasanty.

Eleonora weszła i siadła z papą do stołu. Woń po-
łędwicy napełniła powietrze.

Woń ta natury prozaicznej wprowadziła Alfreda w usposobienie wesołe. Dopiął już swego celu, poznał Eleonorę, przekonał się, że pragnienia jego serca nie znalazłyby zadowolenia w jej miłości! Ztąd pan Alfred popadł w szalony humor, w jakiś nastrój szyderczy, ironiczny.

— Połędwica — zawołał — ja lubię połędwicę!

Z temi słowy nieproszony przysiadł się do stołu.

— Mało nas to interesuje — odpowiedział Kalasanty.

— Mnie bo bardzo! — ciągnął dalej Alfred, biorąc pod ręką leżący widelec i nabierając na niego plasterek połędwicy.

— To niegrzecznie! — wołał Kalasanty, starając się własnym widelcem odepchnąć widelec swego przeciwnika i ściągając z niego nabrany już kawałek mięsa. — Bardzo proszę pana!

— O, ja się nie dam prosić — odpowiedział Alfred, powtórnie nadziewając wydarty sobie kawałek.

Kalasanty rad nie rad musiał zezwolić na zjedzenie owego kawałka.

Przez chwilę zapanowała cisza — wszyscy jedli.

Ciszę tę przerwał Alfred zwracając się do panny Eleonory:

— Jestem żarłokiem; pani lubisz pieczeń?

— Dziwne pytanie — odpowiedziała zadąsana Eleonora.

— Jestem dziwakiem i żarłokiem — ciągnął dalej Alfred — chciwym nie tylko na jedzenie lecz i na pieniądze, karety, konie — wszystkobył pożarł, pochłonał, prócz tombakowych wyrobów, te są niestrawne dla mego żołądka.

— Zbyt dosadnie się pan wyrażasz — przerwała Eleonora.

— Wypowiadam idey mego wieku, które nawet w sercach młodych panien się przyjęły, ba! nawet głębiej niż u płci brzydkiej.

Chce mi dopiec — pomyślała sobie Eleonora.

— Główną ideą tego materyalizmu obecnego wieku jest, ożenić się bogato. Wynałazłem na to sposób: panny biednych nie chcą, wezmą mnie bogatego.

— Ciekawem, jak się weźmie do tego — mruknął Kalasanty.

— Powiedziałem, że jestem biedakiem mieszkającym na Starem Mieście N. X. piąte piętro. Otóż ten biedak, mieszkający tak wysoko puszcza się w loteryą; 10000 biletów po 10 złotych, panna wygrywa 100000 złotych wraz zemną, który wtedy będę pięknym, miłym, jednym słowem młodzieńcem do rozkochania się. Ogłoszenie zrobione w Kuryerku; dotychczas sprzedano biletów 3569 — jeżeli pani życzy sobie, mogę służyć jednym lub kilkoma. Jeżeli pani wygra, to dostanie się jej majątek, powóz, konie i ja, wtedy już z niepożyczonym łańcuszkiem i całkowicie w swoim ubraniu. A ponieważ i papa da zapewne nie mały posag, boć handel na mydło teraz popłaca...

— W obliczaniu mojej zamożności mógłbyś się pan powstrzymać — przerwał z gniewem pan Kalasanty.

— To wcale dobry pomysł — zawołała Eleonora — ja wezmę 10 biletów.

— Ja mogłabym wziąć jeden bilet? — zapytała się przystępując nieśmiało Aurelia.

— Dla ciebie bezpłatnie — odpowiedział Alfred, dając jej jeden bilet, a zwróciwszy się do Eleonory rzekł: Jesteś pani rywalką Aurelci.

Panna Eleonora zapłonęła z gniewu.

Gdybym mu tak mogła oczy wydrapać! — pomyślała.

Co się tycze pana Kalasantego, ten w tej chwili nie myślał zajadając smacznie połędwicę z sałatą. Rzucił niekiedy tylko spojrzenie na Alfreda myśląc sobie:

Ha, kiedy jest, trzeba go cierpieć do czasu, dopóki się nie zje pieczeni. Nie głupim irytować się teraz, mogłoby mi jeszcze zaszkodzić.

Tymczasem i panu Alfredowi przyszła ochota na drugi kawałek, pieczeń bowiem wcale nie złą była. Nie-
szczęściem na półmisku znajdował się już tylko jeden kawałek; pan Alfred sięgnął widelcem, pan Kalasanty, który przed chwilą ostrzył już apetyt na ten kawałek dojadając swego na talerzu, również sięgnął widelcem. Dwa widelce jednocześnie uwięzły w jednym kawałku: pan Alfred ciągnął na swoją stronę, pan Kalasanty ciągnął również do siebie. Powiadają, że ostatni kąsek jest najsmaczniejszym, pozbawić się go nie miał najmniejszej ochoty pan Kalasanty, rzucając złowrogie spojrzenia na duszącego się od śmiechu Alfreda, i tem bardziej podrażniony jego wesołością.

— Co za niegrzeczność — wołał zapieniony Kalasanty.

— Jakaż niegościnnosc — odpowiadał Alfred.

Nagle w sporze będący kawałek połędwicy rozerwany został, opryskując obficie sosem przeciwników; zerwali się.

— Pan jesteś brutalem! — zawołał Kalasanty, a zwróciwszy się do Eleonory, kazał jej wyjść.

Panna Eleonora niechętnie wypełniła rozkaz ojca, niezmiernie ciekawa dalszego przybiegu tej awantury.

Tymczasem Alfred zbliżył się do Rzeszotki i rzekł:

— Panie, na krakowskiem przedmieściu widziałem Sabaudczyka skaczącego z lirą; ten Sabaudczyk miał głupią fizygnomią.

— Panie! — zawołał Kalasanty.

— Miał głupią fizygnomią! Zdaje się, że jasno mówię.

— Łotrze jeden! precz z mego domu!

— Ubliżyłeś mi pan, będę żądał satysfakcji!

— Może pojedynek?

— Pojedynek na śmierć!

— No proszę — wołał Kalasanty — niedawno jeden osieł mnie wyzwał, teraz drugi. Ale dobrze! jestem zły jak piekło; odpowiesz mi pan, żądam pojedyunku, by raz temu koniec położyć. Wpadasz pan do mego domu nieproszony, robisz burdy, buntujesz kucharkę, podżegasz odźwiernego, gorszysz moję córkę wpajaniem zasad przeciwnych duchowi wieku... Tak! tak! pojedynek na śmierć!

Dzieją się rzeczy, o których nawet filozofom się nie śniło; między te należałoby policzyć zgodzenie się na pojedynek ze strony pana Kalasantego. Lecz w tej chwili pan Rzeszotko był istotnie bardzo rozirytowanym.

X.

Pojedynek.

Zaledwie powziął pan Kalasanty myśl pojedyunku, gdy straszne już skutki stanęły w całej grozie przed jego oczyma. Świat cały powłókł się jakąś czarną zasłoną, zpoza której niekiedy błyskały światełka niby błędne ogniki na mogiłach; topole alei złowrogo zaszumiły, a wśród ciemności zdało się, jakoby rozlegał się krzyk sów, puchaczów, wron i kruków. Jakaś mara zpoza zasłony białej spadającej aż do ziemi, której udrapowanie pozwalało dokładnie wyróżniać kościste łokcie i kolana, wychylała trupią główkę zgrzytając zębami, a w uszach pana Kalasantego brzmiały na różne tony niby wycia zgłodniałych wilków słowa: Śmierć! śmierć! śmierć!

Pan Kalasanty drzał nie na żarty, lecz cofać się trudno było.

Udawajmy odważnego — myślał sobie — to mego przeciwnika trochę umityguje.

— Przystąpmy do rozprawy! — zawołał Alfred — Jaki rodzaj śmierci pan wybierasz?

— Spuszczam się na gust pański — odpowiedział Kalasanty dzwoniąc zębami.

— Ja proponuje pojedynek amerykański.

— Nie znam go, to pewnie jakiś cywilizowany.

— Bardzo niewinny.

Czuję się spokojniejszym — pomyślał pan Kalasanty — niewinny.

— Uzbrajamy się nożami, następnie gasimy światło, rozbieramy się do nitki, stajemy w przeciwnych kątach sali, a następnie szukamy się.

— Aj, aj! aż mnie mróz przechodzi! Toż to barbarzyństwo!

— Nazwij pan jak chcesz — panie Rzeszotko — w każdym razie barbarzyństwo amerykańskie, przyzwoite, bo dla nagości odbywa się pociemku.

— A bodaj ich z taką cywilizacją! — wołał Kalasanty. — Nie! panie, ja na to się nie zgadzam; a gdybym też nożem w żołądek dostał! aj! aj!

Tu pan Kalasanty pod wpływem imaginacji pochwycił się za brzuch, czując już jakoby pchnięcie nożem.

— Pan, widzę, troszczysz się głównie o brzuch?

— Wszak sam pan powiedziałeś — odparł Kalasanty — że fundamentem życia jest żołądek, celem życia...

— Prawda; ależ to samo niebezpieczeństwo z pistoletami i szpadą...

— Prawda, prawda... zapomniałem...

— W takim razie proponuję truciznę; wsypiemy ją do jednej z dwóch szklanek z wodą, a potem losem komu przypadnie szklanka z trucizną, ten ją wypije.

— To już znośniejsze...

— Biorę się do dzieła.

Naturalnie że pan Alfred nie miał przy sobie trucizny, w jej braku użył soli.

Gdyby pan Kalasanty nie stracił przytomności ze strachu, podstęp ten nie trudno byłoby mu odkryć. Stało się przeciwnie.

— Nie, nie, ja nie chcę się zatruwać, głupi byłbym — wołał rozpaczliwym głosem.

— W takim razie jesteś pan nikczemnikiem! tchórzem! ubliżasz człowiekowi szlachetnemu, a potem nie śmiesz stawić czoła do walki!

Tymczasem Kalasanty myślał:

Tu trucizna, a ten Paweł z dołu przygotowuje kulkę, nie od jednego to od drugiego się zginie. Wołać policji niepodobieństwem, gdyż miłostka z Aurelią odkryje się, a potem wstyd przed córką. O przeklęta miłostko! toż beknę teraz za ciebie; żaden kochanek na świecie tak drogo twoich roskoszy nie okupi!

— Panie Rzeszotko — nalegał Alfred, podając na tacy dwie szklanki z wodą.

— Już! już! pan mnie do rozpacy doprowadzasz, ale raz temu koniec położmy!

— Wybieraj pan! — nalegał Alfred.

Pan Kalasanty drżącą ręką wypił jedną ze szklanek myśląc sobie:

Mój Boże! nigdy wody nie pijał.

Drugą szklankę wypił Alfred, nie z największą przyjemnością, natrafił bowiem na wodę słoną. Poczem zamknął drzwi na klucz, klucz schował do kieszeni i rzekł:



Polowanie na lisy z chartami. (Rysunek J. Kossaka.)

— A teraz jeszcze jedno: nie wolno wzywać żadnego ratunku, i dla tego drzwi na klucz zamykam; nie wiadomo jeszcze, kto z nas truciznę wypił, dla tego warunek ten zarówno nas obowiązuje.

— Ale wolno przynajmniej z córką się pożegnać — pytał Kalasanty.

— Lecz nie mów jej pan nic o truciznie — odpowiedział Alfred.

— Eleonoro! Eleonoro! — wołał Kalasanty.

Na to wezwanie weszła Eleonora.

— Cobyś moje życie powiedziała — pytał Kalasanty córki — gdybym ja umarł?

— E! to żarty — odpowiedziała Eleonora.

Ja sam to widzę, że żarty — pomyślał sobie Kalasanty — i głupstwo zrobiłem, pijąc tę przekłątą truciznę. Ale! może jeszcze nie wypilem, lecz zawsze głupstwo zrobiłem, żem życie na hazard wystawił; — poczem dodał głośno: No widzisz, to się tak tylko mówi... lecz mam pojedynek z tym panem; widzisz, kulka nie wybiera, paf! i już!

— Papo, ja na pojedynek nie pozwolę!...

— Cicho! cicho! — zawołał Kalasanty, któremu się zdało, iż już w brzuchu kruczy — E! przesyłałem się — pomyślał sobie — to ta sałata! och gdyby ona tylko! — Poczem szepnął do Alfreda: Czy ta trucizna prędko działa?

— Za chwilę jeden z nas umierać będzie.

— Papo! — wołała Eleonora, widząc ojca w pomieszonym stanie.

— Cicho! cicho! — wołał Kalasanty — zdaje mi się, że znów coś piecze w żołądku.

— Co papa sam do siebie mówi? — nalegała Eleonora.

Tymczasem Alfred postanowił użyć ostatniego środka jako próby, czy w sercu panny Eleonory nie da się wzbudzić choćby odrobiny uczucia. W tym celu padł na krzesło z okrzykiem bólu.

No! przecież będzie umierać — pomyślał sobie z radością pan Kalasanty.

— Co to panu? — zawoła Eleonora, ujrawszy okropnie skrzywionego Alfreda.

— Och! — odpowiedział z jękiem Alfred — jestem bardzo słaby. Odmowa pani, jej obojętność, złamały mnie, serce mi pęka.

— Powiedz pan numer swego mieszkania, to pana odwieziem do domu — zawołała Eleonora z niepokojem.

Bardzo czuła — pomyślał sobie Alfred.

— Słusznie mówi — wtrącił Kalasanty — bo gdybyś pan tu ducha wyzionął, to mielibyśmy kłopot z pańskim trupem. — Przynajmniej raz za wszystko mu dopiekle — pomyślał sobie zacierając ręce.

Pan Kalasanty bowiem loicznie rozumował sobie tak: Jeżeli on umiera, więc on truciznę wypił — ergo ja nie wypilem trucizny i cieszyć się mogę.

Tymczasem Alfred osłabionym głosem mówił:

— Umieram! już cię Eleonoro nigdy nie ujrzę, chyba tam... tam...

— O tem potem — mruknął pan Kalasanty — przynajmniej jestem już spokojnym o siebie. Ale! sam chciałem, sam chciałem, mam czyste sumienie.

— Eleonoro! — wołał Alfred błagającym głosem — czyż nie uronisz ani jednej łzy nad kochającym się Apstrifikul-tifikiewiczem?!

— Ach! jakże to strasznie patrzeć na umierającego! — mówiła Eleonora tuląc się do ojca.

— Ciebie nie wzruszam lecz przerażam — wołał Alfred — o ja nieszczęśliwy!

— Proszę, jak ją tyka — zawołał Kalasanty — pozwala sobie przed śmiercią... Moja Eleonoro... proszę!...

Tymczasem Alfred poznawszy, że komedia na nic się nie zda, wstał, począł się przechadzać z wielkim zdziwieniem Kalasantego po stancyi, poczem siadł do fortepianu i zanucił aryę z Trubadura:

Eleonoro, za chwilę żegnam cię!

Co to jest? on widzę zdrów jak ryba — myślał Kalasanty trwożliwie macając się po brzuchu; loicznie bowiem rozumował: Jeżeli on śpiewa, więc jest zdrów czyli nie wypił trucizny, ergo ja wypilem truciznę i na mnie kolej umrzeć przyjdzie. — Pocieszał się jeszcze, że to może być śpiew przedśmiertny łabędzia, a gdy córka znajdowała głos Alfreda dźwięcznym i miłym, wyprowadził ją z pokoju.

Jakoś wolno idzie mu to konanie — myślał dalej — nie! on widzę żartuje. Oj! zdaje mi się, że znów coś zakruczało w brzuchu.

Poczem zwrócił się do Alfreda.

— Panie! czy pan nie umrzesz dzisiaj?

— Jestem zdrów jak ryba — odpowiedział Alfred — na pana kolej.

Jednocześnie z temi słowy Kalasanty uczuł gwałtowne ściśnięcie żołądka.

— Oj, oj! przeczuwałem swój zgon — wołał załamując ręce — Oj! oj! panie zlituj się nademną, ratunku!

Na ten okrzyk wpadły Eleonora i Aurelia.

— Co to papie?

— Co to panu?

— Zginałem! wypilem truciznę! za chwilę umrę, tak, umrę bezpowrotnie. To on jest sprawcą mej śmierci! Ratunku! Po lekarza!... Eleonora! biegnij po lekarza! — wołał okropnym głosem Kalasanty.

— Nic to nie pomoże — odezwał się wówczas Alfred — raz że warunki nasze na to nie pozwalają, a powtóre że to była trucizna, na którą żadnego antidotum nie ma.

— Zginałem! zginałem bezpowrotnie!... w kwiecie wieku zginałem — jęczał boleśnie Kalasanty.

— O Panie, miej litość nad moim ojcem! Co robić? — zaklinała błagającym głosem Eleonora Alfreda.

— Antyfony odmawiać nad umierającym.

— Jest tu jakaś stara książka do nabożeństwa, to tam pewnie antyfony będą—zawołała Aurelia wybiegając, i po chwili przynosząc książkę wspomnianą.

— Umieraj pan — mówił Alfred — jak na prawdziwego chrześcianina przystało, z przebaczeniem na ustach dla nieprzyjaciół.

— Dla ciebie potworo nigdy! — przerwał mu Kalasanty.

Tymczasem Aurelia roztworzywszy książkę poczęła czytać z całym nabożeństwem:

„Życie moje jest na schyłku, za chwilę“...

— Precz! Precz! — wołał Kalasanty — żywcem do grobu wprowadzić mnie chcecie. Aj! aj! brzuch!

— Gotuj się na śmierć — mówił Alfred — za chwilę Charon przewozić cię będzie na swej łódce...

— Aaron! Aaron! — wołał Kalasanty — któremu biblijny Aaron więcej był znany, aniżeli mitologiczny Charon. — Panie, jeżeli masz jakie środki, ratuj mnie, ratuj, bo mrgę z rozpacz!

— Dwa razy pan umierać nie będziesz, dosyć trucizny. A co z pańskim trupem zrobić?

— Panie! ratuj! połowę sklepu z mydłem panu odstąpię.

— Ulituj się pan nad moim ojcem! — błagała Eleonora.

No, dosyć tej komedy — pomyślał sobie pan Alfred, poczem głośno zawołał: Panie Rzeszotko! ja ci mówię wstań! Niech sława twego imienia da się czuć światu całemu, niby woń najlepszego gatunku mydła, niech wszystkie gazeciarskie ogłoszenia kadzą ci niby dymem z trociczek, a ty pograżony po uszy w tych obłokach żyj, rośnij i rozmnażaj się!

Pan Kalasanty zrobił wielkie oczy, z niemym podziwem przypatrując się Alfredowi; wówczas Alfred niedowierzającego Rzeszotkę pochwyił za kołnierz, podniósł, postawił na nogach i rzekł:

— Ja ci mówię: wstań! bo woda, którą wypileś, była zaprawiona nie trucizną lecz solą...

— Głauberską — wtrąciła Aurelia.

— Zwyczajną, kuchenną — odpowiedział Alfred.

— O nieba! — zawołał ze łzami radości w oczach Kalasanty — więc żyć jeszcze będę!!! A więc puśćmy nasze niezgody w niepamięć i pojednajmy się! Kto pan jesteś, któremu tyle mam odtąd do zawdzięczenia?

— Spytaj się pan Aurelii — odpowiedział Alfred.

— Kto ten pan jest? — zawołali jednocześnie córka i ojciec zwróciwszy się do służącej.

— Hrabia Cnotlikiewicz — odpowiedziała zapytana.

Wyraz hrabia wywołał niemy podziw obecnych; pierwszy opamiętał się Kalasanty ze słodkim uśmiechem kłaniając się panu Alfredowi:

— Aaa! pana hrabiego... mam zaszczyt w swym domu... kłaniam unieżenie... całuję stópki...

Tymczasem Alfred obojętnie rozglądając się po ścia-

nach i nie zważając na grzeczność gospodarza domu, zwrócił doń z sardonicznym uśmiechem pytanie:

— Czy pan lubi malowidła?

A zwróciwszy się do zapłonionej ze wstydu i złości Eleonory rzekł:

— Łańcuszek nie tombakowy, lecz złoty.

Pan Kalasanty nie zrażony niczem, pod wpływem magicznego dlań słowa: hrabia, kłaniał się unieżenie fantazując:

— Aaa!... mam zaszczyt... pana hrabiego... w swym domu... całuję nóżki... sługa unieżony...

— Przyszlij też pan dla mnie, panie Rzeszotko — przerwał mu Alfred — trzy funty mydła szarego do wyszurowania schodów.

W tej chwili ukazał się we drzwiach Paweł z pistoletami, trzymając je bardzo ostrożnie, by nie wystrzeliły.

Dodajmy, że obawa ta była bezzasadna, gdyż Alfred dał mu je nienabite.

— Daj spokój tym pistoletom — odezwał się Alfred do wchodzącego — lepiej się ożeń z Aurelią — a wyjąwszy 1000 złotych i podając je Aurelii rzekł:

— Oto dla ciebie na posag.

— O Panie! — zawołała Aurelia — tysiąc złotych... głowę tracę...

— Tysiąc złotych — jęknął Kalasanty — znać hrabiego! W tej chwili pannie Eleonorze nos zaswędziało.

Tymczasem wśród niemego podziwu Alfred wyszedł. Aurelia nie mogła jeszcze przyjść do siebie z radości — 1000 złotych, wołała — a toż głupiaby była, gdybym mając 1000 złotych posagu, wychodziła za takiego głupca — wskazując na stróża.

— Czy to o mnie mówisz? — spytał Paweł.

— Juści, że nie o kim innym.

Tymczasem odbył się krótki dyalog między ojcem i córką.

— Zadrwił! — krzyknął Kalasanty.

— Mógł być moim mężem — zawtórowała Eleonora.

— Licho go wiedziało.

— Przez papę karierę sobie popsułam, papa powinien był domyśleć się tego, wreszcie tatko sam mówił, że go znał kiedyś.

— Jako żywo — odparł Kalasanty — Aurelia winna, wiedziała a nic nie mówiła.

— Bo gdybym powiedziała, nie dostałabym 1000 złotych — odpowiedziała śmiejąc się Aurelia.

Śmiech i zawód to za wiele na jeden raz. Ojciec i córka poczuli się w usposobieniu, w jakim ludziom przychodzi ochota połamać kości swym bliźnim.

Panna Eleonora syknęła z gniewu i rzuciła się ku Aurelii z ściśniętymi pięściami z okrzykiem: Nikczemna!

Pan Kalasanty syknął z gniewu i rzucił się ku Aurelii z ściśniętymi pięściami z okrzykiem: Nędznico!

Bóg wie, czy Aurelia zdrowo wyszłaby z tej walki, gdyby nie Paweł, który na wiadomość o posagu swej narzeczonej poczuł w sobie rycerski zapal do bronienia Aurelii i stanął między napastowaną i napastnikami z bronią wołając: Ani kroku! bo śmierć!

Napastujący w zapale ostygli; wtedy Paweł padając na kolana przed Aurelią zawołał: Życie dla ciebie na niebezpieczeństwo wystawiłem, a ty nie chcesz mnie mieć za męża!

— Niebezpieczeństwo z nienabitymi pistoletami — odpo-

wiedziała śmiejąc się Aurelia — jesteś mazgaj! jak nie nie miałam, toś kręcił nosem, a teraz...

— Byłem głupcem... tłumaczył się rozżalony Paweł.

Oj! i ja nim jestem — pomyślał sobie Kalasanty — pan Rzeszotko bowiem nie był wcale zarozumiałym.

Kończąc niniejszą humoreskę dodamy dla uspokojenia naszych czytelników, że panna Eleonora nie zemdląca; dosyć bowiem silnie posiadała nerwy, by zemdląć istotnie, a udawać nie było przed kim.

K r o n i k a

Nie wiem czy sobie przypominacie (któżby to dziś takie stare dzieje zapamiętał?), jakieśmy wszyscy, ile nas było, stękali na to, że staruszka Europa przy tak niesłychanie naprężonych stosunkach mocarstw, przy tak anormalnym stanie, w tak wielu kwestiach przeróżnych do czynu i czegoś stanowczego przybrać się nie może. W dziennikach panowały pustki takie, że już po nich baki o węzłach morskich chodzić rozpoczynały, ziewano do połamania szczęk, gdy nagle zjawił się wykrzyk — wojna. Dostaliśmy owego upragnionego miecza Aleksandrowego, który wszystkie węzły miał porozcinać... Tnie teraz a tnie... czy nam z tém lepiej? Wielce wątpliwa... Wprawdzie polityczne dzienniki mają materiału obficie, więcej niż go porządnie zużytkować podobna — ale my nieszczęśliwi, którym polityka kością w gardle stoi? O francuzkiej literaturze mowy nie ma, bo Francya znikła nam z horyzontu, zastąpiona plecami pruskich żołnierzy; niemiecka bawi się w żołnierza i obozowe piosnki; angielska po troszę odpoczywa, włoska potroszę bałamuci, i my z nią w niezmiernie odległych zostajemy stosunkach... a nasza oniemiała z bólu, patrząc jak siostrę rodzoną katują bezbronną.. W takich czasach zamętu nie ma się ochoty spiewać, ni gawędzić, ni rozprawiać; rzeczywistość podejmuje się i prozy i poezyi i marzenia i rachunków — ona dyktuje... a stenografują telegrafy... Oto niemal cała dzisiejsza literatura. Baczniej śledząc każdy ruch i drgnienie, postrzegamy tylko, że niby coś w Warszawie i Królestwie jakby po długim spoczynku na nowo się chciało rozbudzać. Wyszło choć kilka książek, gdy niedawno jeszcze oprócz nabożnych i gospodarskich nie było tam ani jednej. Nie znamy jeszcze Aleks. Tyszyńskiego zasad krytyki, ale zawsze rzecz to poważna i przeznaczona, by do poważniejszych przemówiła umysłów. Tak samo dzieło o uspołecznieniu Rzymu, tak samo filozofia Levittoux, o której jużśmy wspominali; naostatek zjawiło się i belletrystyczne wydawnictwo znanego tu u nas M. Dzikowskiego. O ostatniemi dzienniki warszawskie tak się odezwały, jak zasługiwało. Nie ma się co o tém rozpisywać. Nowości dziennikarskich nie słyhać, oprócz humorystycznej Muchy. Cenzura, która na polskie nowe peryodyki nie pozwala, stoi na przeszkodzie. Rada by jeszcze i tym, które istnieją, poukręcać głowy. Jako warunek życia nakazała wszystkim pismom, aby o Rosyi pisały — Rosyą się zajmowały,

z rosyjskiego tłumaczyły. Poczęło się to od kalendarzy, w których już od dwóch lat występują znakomitości rosyjskie po ukazu; teraz z powodu wystawy pamiętano kazać o niej pisać dziennikom; do obu Kuryerków wprowadzono siłą osobny oddział dotyczący się spraw cesarstwa, w obu ilustrowanych pismach wpakowano przemocą tłumaczenia powieści z rosyjskiego, a nawet staruszce Bibliotece otworzywszy usta, wiano gwałtem ten sam dekolt, nie przymierzając jak konowały koniom zadają lekarstwa. Przegląd polski, któryby pewnie bardzo życzył sobie przespacerować się do Kongresówki, zdrowe do niej niosąc zasady, które rząd oceniać najlepiej potrafi, sponte umieścił u siebie Dział rosyjski... Otóż — powiedzmy prawdę, rzecz jest smutna widzieć taki przymus i gwałt w sprawach ducha, ale ostatecznie — złego w tém nie ma, że się ludzie więcej tą terra incognita zajmować będą i poznają lepiej. Trzeba tylko mieć swobodę mówienia o niej prawdy i tyle znajomości języka, literatury i stanu, aby nie pleść banialuków i nie powtarzać za panią matką pacierza. Musieliście czytać pewnie, choćby w lipskim Börsenblacie księgarskim, że Żupański wydał po raz wtóry „Ojczyzna nasza“ przypisywane Aug. Cieszkowskiemu. Od r. 1863 złamany i znękanym Cieszkowski usunął się był od czynnego życia, ostatniemi czasy przebywał w Rzymie i Wenecyi; słyszymy, że go teraz wybrano posłem do Sejmu, a nie widzimy, żeby nie przyjął jak dr. Libelt; z tego wnosiśmy, że znowu wróci nam i Księstwo zyska w nim jedną z dawnych powag swych, która dobry wpływ na życie społeczne wyrzeć może. Wydał także Żupański pierwszy tom pamiętników Michała Ogińskiego, zapewne w tłumaczeniu Chodźki, bo Chodźko miał ich własność. Forster w Berlinie wydrukował Raumera Upadek Polski i rozpoczyna nim Tekę narodową, która historyczne rzeczy umieszczać będzie. Z niemieckiego wiele jeszcze jest do tłumaczenia, choćby od Roeppla począwszy.

Z polskich listów Odyńca do Korsaka dr. Bratranek ciekawo przetłumaczył wyciąg pod tytułem „Zwei Polen in Weimar“; ale listy te jeszcze się ciągną w Kronice rodzinnej i koniecznie by powinny być wydane osobno. Nic lepiej nad nie nie objaśnia Mickiewiczowskiej epoki; będzie to, gdy się skończy, miła i pełna życia książka.

W Poznaniu zapowiada się Tygodnik Wielkopolski, któ-

remu my i wy i wszyscy zresztą życzymy z duszy jak najlepiej. Jest bardzo charakterystyczna, że w onem to wielkopolskiem... sami przybysze fundują organ miejscowy; musiano do ogniska starego przynieść trochę żaru z kądinąd, tak już było wygasło. Pułk. E. Callier, Belza, Ordon... pomogą pewnie miejscowi, ale obey zaczęli.

Z rzeczy sztuki mało nowego w Poznańskim, sztuka tu nie otrzymała jeszcze praw obywatelstwa, w Królestwie zato króluje... Otwarto nowy gmach wystawy smakownie przyozdobiony; Gerson, ten niedość jeszcze oceniony rysownik, pełen uczucia i powagi rzewnej, malował stropy — on, Kostrzewski, co życie ludowo-szlacheckie z jego prozaicznej i poetycznej strony tak dobrze pochwycił, Kossak, kilku młodszych, już zamieszkują tę starą kordygarde obróconą na przebytek piękna. Godna uwagi, że w Kaliszu więcej się obrazów sprzedaje niż w Poznaniu. Bogiem się świadczę, że Poznań bardzo kocham, ale nie można mu niedokuczać za to, że dla mierzwy o wszystkim prawie zresztą zapomniał. Nie jestem ja przeciwko mierzwie, wszakci my wszyscy, wiele nas jest, za mierzwę XX. wiekowi służyć będziemy, volens nolens; ale cośby na niej siać wypadało, bo chwast daremnie wybuja. Mówią, że zasieją... jezuitów. Chyba plotka...

J. I. KRASZEWSKI.

ZE ŚWIATA.

(Legenda o dniu zadusznym). Pomiędzy licznymi zatokami, jakie wyłobił ocean w zachodnim wybrzeżu Bretonii, jest najciekawszą zatoka w Douarnenez, przedstawiająca olbrzymie uroczysko piętrzących się stopniowo skał. Tu i ówdzie widać głębokie szczeliny, bezdenne przepaści, śmiałe sklepienia, przez które może zachwyczone oko oglądać zatokę w całej jej wspaniałości, podwyższonej jeszcze odbłaskiem stalaktytów i przyćmionem światłem magicznym. Z okropnym hukiem uderzają w dali bałwany oceanu o ściany skaliste, tamujące im przystęp do zatoki, ale ciągle opadają napowrót rozbite i pokonane, poczem już łagodniejsze wciskają się do zatoki, kołysząc się lekko ku wybrzeżu i całują jak kochanka uśmiechające się rokoszną vegetacją brzegi. Do tej zatoki wiąże się legenda ludu bretońskiego, gdyż pod tą białą oponą znajdowało się niegdyś bogate i potężne miasto Is, celtycki Babilon, który pewnego dnia dotknięty karą nieba znikł z powierzchni ziemi.

Było to w nocy z 1. na 2. listopada; w pałacu sędziwego Graalona, króla Isu, odprawiano wielki festyn, i komnaty jego brzmiały okrzykami radości. W przepysznej sali królewskiej uwijali się młodzi niewolnicy, piękni jak dzień boży, usługując gościom; namaszczali im włosy i ramiona wonnymi olejkami i podawali wieńce z kwiatów. Kapłani w długich, białych tiarach śpiewali przy dźwiękach lutni hymny pochwalne na cześć białej kniżni Koridwen. Pięcioramienne świeczniki z tysiącami świateł, których promienie odbijały się w lśniących połyskach złotych czar, rozszerzały jasność przewyższającą blask słońca. Przez otwarte okna przedstawiało się miasto Is, pogrążone we śnie z swymi niezliczonymi domami, pałacami i świątyniami, jak czarny, olbrzymi stos kamieni. Od czasu do czasu dochodził przytłumiony, a jednak przerażający huk do

sali, który przygłuszał na chwilę wrzawę festynu. Było to morze, rozbijające się bezwładnie o tamę, której wysokie mury i spiżowa brama chroniły miasto od nawałności oceanu. Na wysokiej otomanie przewodniczyła festynowi córka Graalona, księżniczka Dahut; jej kruczy włos splotywał w długich splotach na szyję; jej ramiona, ozdobione szerokimi obręczkami złotymi, były okryte tuniką, która nie mając rękawów i paska przylegała miękkimi fałdami do jej ciała. Kosztowny naszyjnik zdobił białą szyję, a jej skronie otaczał dyadem o dwóch rzędach pereł, których lśniące barwy spółzawodniczyły z alabastrową białością jej lic i z koralową czerwonością jej ust. Za nią stało dwóch pięknych niewolników, którzy szerokimi wachlarzami z kosztownych piór ochładzali skroń władczyni; tunika dozwalała podziwiać nadobne zarysy jej ciała, a nadto połyskiwała w jej uszach kółczyki w kształcie wielkich tarcz złotych, i błyszczące naramienniki na jej okrągłych ramionach.

Leżąc na szkarłatnem wezgłowiu, z głową opartą na ręku, zdawała się księżniczka być pogrążoną w głębokiem dumaniu; jej pierś wzdymała się gwałtownie, a czasami błyskały groźnie jej duże, czarne a teraz napół przymknięte oczy. U nóg jej leżał młodzian rzadkiej piękności; jego jasny włos spadał mu w gestych lokach na ramiona; piękna broda zdobiła podłużną twarz jego; ale uważny badacz byłby naprózno szukał wierności w jego uśmiechu, a szczeroci w jego spojrzeniu. I on siedział ponury i obojętny na wszystko, co się dokoła niego działo, a jego siedmiostrunna lutnią, z której wydobywał zwykle czarujące dźwięki, leżała porzucona na boku. Nagle ocknęła się Dahut z swego dumania, i wzrok jej spoczął na młodym człowieku z wyrazem niewysłowionej czułości.

— „Co ci jest, mój Gweno?“ — spytała z cicha, nachylając się ku niemu. — „Na twojem czole widzę cień smutku“...

Gweno nie odpowiedział nic, lecz spojrzął na swoje królowę przeciągłym, żalonym wzrokiem; westchnienie wydobyło się z jego piersi, i łza zabłysła na jego długich czarnych rzęsach. — „Ty płaczesz!“ — zawołała Dahut. — „Ach, ja muszę Cię opuścić!“ — „Mnie opuścić! Mnie, co ty mówisz?“ — „Muszę; nie mogę żyć dłużej w tem przekletem mieście; dziś wyrządzono mi wobec zgromadzonego ludu największą hańbę — dano mi policzek, a lud radośnie przyklaskiwał. A żeby ugasić ogień, który pali twarz moją, potrzeba krwi koniecznie!“ — „Biada temu, kto ciebie znieważył! Twoja zemsta jest także moją, i ktokolwiek on jest, musi zginąć!“ — „To nie jest w Twojej mocy, królowo; jestto jeden z najśmielszych i najsilniejszych Twoich wojowników; lud kocha go i uwielbia jako najdzielniejszego swego obrońcę, a łaska króla powierzyła mu straż nad bramami miasta. Cóż ja znaczę w porównaniu z Warochem, ja, który Twoją tylko posiadam łaskę!“ — Księżniczka zawrzała gniewem. — „Przeklęty! Czyż nie ma żadnego środka, żeby go zniszczyć?“ — „Owszem“ — rzekł Gweno. — „Jakiż to?“ — „Warocho jako komendant miasta ma pod swoją strażą także spiżową bramę. Klucza od niej nie wypuszcza on nigdy z rąk swoich; ale jest jeszcze drugi, który Twój ojciec nosi na złotym łańcuchu na szyi. Patrz, on spi; to najlepsza sposobność! Idź i weź mu ten klucz!“ — „A cóż potem uczynisz?“ — „Otworzę sam spiżową bramę. Morze zaleje niższe części miasta; pałac stoi za wysoko, by

mu groziło jakie niebezpieczeństwo. A cóż nas obchodzi śmierć owych nędzników, którzy wnosili radośne okrzyki, gdy mnie śmiertelnie znieważono? Jutrzienka będzie przyświecać zgubie Warocha i mojej zemście!“

Okropna walka toczyła się w duszy córki Graalona; milczała przez chwilę, gdy tymczasem Gwenoe śledził ją wzrokiem pełnym oczekiwania. — „Dobrze — rzekła w końcu — będziesz miał klucz!“ — Promień tryumfu rozjaśnił czoło Gwenoego, a usta jego wykrzywiły się szatańskim uśmiechem, pełnym dzikiej radości.

Stary Graalon spał; srebrzysty włos ocieniał jego czoło, a złoty klucz połyskiwał na jego szkarłatnej sukni. Błada, podobna do Madony z Lyany, z palającym okiem i bijącym gwałtownie sercem, zbliżała się do niego Dahut powoli, trzymając w ręku lampę alabastrową. Potem objęła rękami szyję starca, podniosła lekko sędziwą głowę, i z przytłumionym oddechem zdjęła szybko klucz razem z łańcuchem.

Księżyc zanurzył się w oceanie, i zorza poranna ozłociła swoimi promieniami dachy domów i kopuły świątyń. Po chwili wionął świeży wiatr; jakiś przytłumiony, przeciągły szum zahuczał naksztalt zrywającej się burzy i przeleciał ponad pograżonem jeszcze we śnie miastem. Ale wkrótce podwoił się szum i stał się wyraźniejszym; był on podobny do jednostajnego turkotu tysiąca wozów, przejeżdżających daleko po twardej ziemi.

Nagle powstała wrzawa, wśród której dał się słyszeć długi okrzyk przerażenia: „Tama otwarta! Morze wylewa! Uciekajcie, uciekajcie!“ — Na najwyższej terasie pałacu siedziała Dahut z rozpuszczonym włosiem i przypatrywała się scenie rozpaczy: — to jej dzieło! Krzyk mężów, jęki niewiast, rzenie koni, ryk zwierząt, trzask zapadających się domów — wszystko to razem tworzyło żałośny wrzask, który jak hymn radości brzmiał w uszach córki Graalona. Ale nagle wyrwał się z jej ust okrzyk trwogi. Morze nie zatrzymało się; jego fale rosły z przerażającą szybkością i zalewały już najniższe stopnie marmurowe, wiodące na terasę, a wkrótce dosięgła woda samej księżniczki.

W tem zjawia się Graalon na rączym koniu, chwytając swoją córkę, rzuca ją za siebie na konia i wypada na drogę łączącą Is ze stałym lądem. Ale napróżno bodą ostrogi jego do krwi boki rumaka; woda pędzi tuż za nimi z szumem i hukiem, dosięga uciekających i obryzuje już pianą kopyta konia, który przejęty trwogą leci jak szalony. Dahut zwraca oczy ku miastu, i prawie już bezprzytomna, odurzona okropnem zniszczeniem, rzuca się z wyciągniętymi rękoma w morze, które z tryumfem porywa swoją zdobycz; poczem jakby zadowolone, że ukarało zbrodniarkę, wnet się uspokoiło, i spienione balwany jego zatrzymały się na tem samym miejscu, jakby na wieczną pamiątkę tej ofiary pokuty. Tak znikło miasto Is z powierzchni ziemi. Długo po tym wypadku znajdowano na tem wybrzeżu kamienie dziwnie rzeźbione i pełne znaków pisemnych nieznanego języka, aż z biegiem czasu znikły wszystkie te gruzy pod namulęm piaszczystym. Tylko podczas odpływu morza pokazuje się niekiedy szczyt granitowy w pośrodku zatoki; jestto szczyt wieży najwyższej świątyni Isu, ostatni ślad olbrzymiego miasta. Ale w noc zaduszną mógłby Bretończyk, któryby miał odwagę wypłynąć na zatokę, widzieć i

słyszeć nadzwyczajne rzeczy. Miasto Is występuje napowrót z wody, lśniące jasnością, pełne wrzawy, ruchu i życia; ale po ulicach snują się tylko przystrojone w bogate suknie szkielety z trupiami głowami. Każdy z tych upiorów trzyma w ręku jakiś przedmiot, który zdobił dom jego; i tego dnia, gdy jaki kupiec ofiaruje za ten przedmiot swoje życie, pojawi się miasto Is, uwolnione od klątwy, znowu na powierzchni ziemi. Wieki już minęły, a warunek ten nie ziścił się jeszcze, i co roku w dniu 2. listopada o świcie znika to zaczarowane miasto nanowo wśród rozpaczliwego krzyku i żałośnych jęków.

(Krystyna Nilson). Na horyzoncie świata muzycznego zabłysła nowa gwiazda; „słowik szwedzki“ — Jenny Lind — znalazł rywala w rodaczce swojej, Krystynie Nilson, która od kilku już lat jest ubóstwianą powszechnie śpiewaczką opery i ma posiadać głos tak uroczy, jakiego oddawna już nie słyszano. Urodzona w r. 1843 w wiosce Hussaby, w obfitej w lasy i jeziora prowincyi szwedzkiej Smalandyi, jako córka niezamożnego wieśniaka i dzierzawcy w dobrach hrabiego Hamiltona, była małą Krystyna ósmem zadatkiem miłości tej rodziny, a tem samem wcale niepożądanym przybytkiem, zwłaszcza — jako dziewczyna. Ojciec jej był miłośnikiem muzyki a oraz pierwszym śpiewakiem przy małym kościółku gminnym; cała też rodzina była muzyczną, i mała Krystynka wraśćtała przeto wśród tych popędów do sztuki, i wcześniej już zdradzała sama znakomity talent do muzyki, a przytem głos bardzo piękny i nadzwyczaj mocny. Nie mając jeszcze lat dwunastu, wyuczyła się pokryjomu od jednego z swoich braci gry na skrzypcach, i doprowadziła w tem do takiej biegłości, że towarzyszyła bratu na jarmarki i odpusty i grywała z nim za pieniądze, lub też za wtórem jego skrzypców śpiewała szwedzkie pieśni ludowe, wesołe kuplety i arye z najnowszych oper, i tym sposobem przyczyniała się do powiększenia skromnego dochodu rodziny. Przy takiej to sposobności ujrzał raz urzędnik szwedzki, imieniem Thornerhjelm, utalentowane dziewczę, i tak się zachwycił jej głosem, że ofiarował się rodzicom przyjąć ją na wychowanie i zająć się jej wykształceniem muzycznym, na co rodzice chętnie przystali. Pan Thornerhjelm pozyskał dla swej wychowanki do nauki śpiewu pannę Valerius, jedną z najznakomitszych śpiewaczek w swoim czasie, i piękny głos Krystyny rozwinął się pod umiejętném kierownictwem tak wspaniale, że w kilka lat potem, ukończywszy także naukę szkolną, udała się do Sztokholmu, aby pobierać gruntowniejszą naukę muzyki u sławnego kompozytora i metra Berwalda. Później udała się z siostrą panną Valerius, portrecistką, do Paryża; znalazła umieszczenie w domu pewnej rodziny angielskiej i pobierała przez trzy lata naukę śpiewu u Wartela, aż wkońcu odważyła się za jego namową wystąpić z wielką obawą na scenie. Została pod bardzo skromnymi warunkami zaangażowana na trzy lata w teatrze lirycznym, i w pierwszym roku nie miała zbyt wielkiego powodzenia; dopiero w drugim roku 1866 odznaczyła się w kilku ważniejszych rolach swym potężnym głosem, ale jej gra zimna i niezręczna pozostawiała jeszcze wiele do życzenia. Pobierała więc jeszcze naukę w konserwatorium paryskiem od panny Sedie, która przestudowała z nią jak najdokładniej rolę „Trawiaty“, tak że w roku 1867 na gościnnym występie w Londynie sprawiła tą rolą nadzwyczajne wrażenie, które

powiększyła jeszcze bardziej udziałem w kilku wielkich koncertach. Skutkiem tego została zaangażowana pod bardzo świetnymi warunkami, i dzienniki teatralne wynoszą dziś pannę Nilson pod niebiosa w rolach „Cherubina“ w Weselu Figara, „Małgorzaty“ w Fauście Gounoda, „Lucyi“ w Lucyi z Lammermooru, „Ofelii“ w Hamlecie i także hrabiny w Weselu Figara. Takimto sposobem dochodzi się do wawrzynów.

(Do historii „Marsylianki“). Pierwsza rewolucya francuzka zostawiła narodowi w spuściznie wiele spiewów wojennych, ale tylko niektóre z nich nabyły sławy historycznej; do tych należą: „Ça ira“, Karmaniola, spiew rewolucyjny Jakubinów, i Marsylianka. — Ça ira, był to z początku tylko okrzyk zachęcający, który pierwotnie miał wyjść z ust Franklina dla zbicia wszelkiej wątpliwości o pomyslnem rozwiązaniu wojny amerykańskiej o niepodległość. Po raz pierwszy spiewali tę pieśń robotnicy na polu marsowem, gdy czyniono przygotowania do wielkiego festynu braterstwa; później rozszerzyła się ona coraz więcej, ale wkońcu nabrała krwawego znaczenia i stała się hasłem teroryzmu rewolucyjnego! Po niej nastąpiła „Karmaniola“, spiewana po raz pierwszy w r. 1792, gdy wojska francuzkie wtargnęły do Piemontu. Zkąd pochodzi ta nazwa, nie wiadomo; czy od miejscowości sabaudzkiej Carmagnoli, czy też od krótkiej kurty, którą tak nazywano — dość że melodia ta brzmiała wkrótce wszędzie, na balach, po ulicach i w obozie. Najślawniejszą jednak ze wszystkich stała się nieco później „Marsylianka“, jako najczystszy wyraz patryotyzmu, bohaterstwa i poświęcenia dla ojczyzny, i dlatego też jest ona dotąd i pozostanie na zawsze prawdziwym hymnem ludu we Francyi. Rządy despotyczne, poczynawszy od Napoleona I., zakazywały ją zawsze jak najsurowiej, jak wogóle wszystko, w czem tylko objawia się groźna dla nich potęga narodu; ale któż zdoła przytłumić to, co się zrodziło i żyje w sercu całego narodu? Zresztą „Marsylianka“ jest nie tylko historycznie sławną, ale ma także wartość poetyczną. Wiadomo już zapewne, że tym poetą a oraz twórcą melodi był Rouget de Lisle, który w r. 1792 służył jako oficer inżynierii przy armii nadreńskiej w Strasburgu, i że utworzył ten spiew właśnie wtedy, gdy Francya wypowiedziała wojnę cesarzowi niemieckiemu. Mniej znanem będzie może to, że ów poeta-żołnierz po wypadkach sierpniowych w Paryżu, które pociągnęły za sobą obalenie tronu, zażądał uwolnienia od służby i za to wtrącony został do więzienia, gdy tymczasem „Marsylianka“ stała się spiewem wojennym żołnierzy republikańskich. Upadek Robespiera uratował go od śmierci, a w roku 1795 ogłosił on zbiór, zawierający pięćdziesiąt spiewów patryotycznych, które mają także gdzieś tam ustępy piękne i silne, ale wogóle nie dorównują „Marsyliance“. Później skomponował on nawet panegiryk na cześć zamachu politycznego Napoleona z 18. Brumaire, ale usunął się wkrótce potem od cesarza i witał w r. 1814 powracających Bourbonów jako zbawców ojczyzny. Ubogi i zapomniany wiódł tworca „Marsylianki“ nędzne życie podczas restauracyi; raz nawet musiał Beranger uwolnić go z więzienia za długi; i dopiero, gdy z rewolucją lipcową odżyła znów „Marsylianka“, wyznaczono poecie małą pensyą, a w sześć lat potem, t. j.

w r. 1836 umarł on w pobliżu Paryża. Jakaż to dziwna sprzeczność między dziełem a jego twórcą!

(Osobliwsza ceremonia religijna). Na dalekim zachodzie Ameryki dzieją się nieraz rzeczy, o których śmiało rzec można, że nie śniły się nawet filozofom naszym. Doraźne sądy pospólstwa i straża bezpieczeństwa w najdziwaczniejszych formach należą tam do niezbędnych instytucyi. Ale nigdzie pewno nie wydarzyło się jeszcze coś podobnego, by gmina chrześcijańska pod przewodnictwem swojego pastora zamieniwszy się w sąd przysięgłych łączyła stracenie bliźniego z uroczystością religijną. A taki wypadek zaszedł niedawno w Ponca, w prowincyi Jowa. Pewien młynarz tamtejszy, oskarżony o rabunek połączony z morderstwem, dał się nakłonić pastorowi do publicznego wyznania swej zbrodni, i w tym celu urządził szanowny pasterz uroczystość, o jakiej nie słyszano jeszcze. Gmina się zgromadziła; odbyły się modły, spiewy i kazanie; potem wystąpił zbrodniarz na scenę i opowiadał — jak się zdaje w sposób teatralny — okropne szczegóły swojej zbrodni. Pastor przyrzekł mu za tę otwartość przebaczenie w niebie, i kazał oraz głosować gminie nad tem, czyli i kiedy ma nastąpić obwieszenie młynarza. Wyrok był jednogłośny: „żeby go natychmiast powiesić“; tylko kilka dziewcząt wyrzekło nieśmiało „nie“, ale ich głosów nie liczono. Zaraz potem udała się gmina z procesyą na najbliższe dogodne miejsce, postawiono na prędcie szubienicę, i wśród modłów i spiewów odbyła się eksekucya tak niezręcznie, że obwieszony drgał jeszcze pół godziny; poczem starzy i młodzi, wielce zbudowani tą ceremonią, rozeszli się do domu. Dodają zresztą, że sam zbrodniarz, nie sprzeciwiając się wcale tej szczególniejszej uroczystości, uczestniczył we wszystkich ceremoniach z radośnem nabożeństwem, bo przecież przyrzeczono mu nagrodę na tamtym świecie.

(Źródło rosółowe.) W Newadzie odkryto podług doniesienia jednego z dzienników amerykańskich gorące źródło, którego woda należycie przyprawiona, ma smak bardzo podobny do rosółu z kurczęcia. Trzy funty wołowego mięsa, ugotowane w tej wodzie, dają tak pożywny rosół, jak dwaście funtów mięsa, ugotowane w wodzie zwyczajnej. Właściciele źródła założyli na miejscu łaźienki, gdzie można używać niepraktykowanego dotąd zbytku, t. j. kąpeli w rosole. Cesarzowa Poppea Sabina kąpała się w osłém mleku; Hieronim, ś. p. król Westfalii, krzepił osłabione ciało swoje czerwonym winem; — ale kąpiel w rosole przewyższa wszystko, czemkolwiek starożytność i czasy najnowsze poszczycić się mogą.

(Olbrzymi teleskop.) Panowie Cook i syn w Yorku ukończyli właśnie największy dalowid, jaki kiedy zbudowano. Rura mająca kształt sygara, jest 32 stóp długa, a na środku 3 stóp 6 cali szeroka; szkło powiększające ma 25 cali w średnicy. Słup metalowy, na którym się opiera teleskop, jest 20 stóp wysoki, a u dołu ma 6 stóp w średnicy. Na szczycie i wewnątrz słupa jest zegar, którego wagi wiszą wewnątrz. Teleskop ten zamówił przed 5 laty pan Newal z Gateshead, gdzie też teraz go ustawiają. Ale Gateshead nie jest miejscem jego przeznaczenia, pan Newal bowiem ma zamiar założyć obserwatoryum astronomiczne w Madeirze, i tam będzie ustawiony ów teleskop.

Humoreska.

Niegdyś.

(Czytaj całą gębą i głośno.)

Moszandzieju, jak kto powie,
Że ja kiedy miałem w
głowie,
To mu w leb dam, co się
zowie,
Jak należy — moszandzieju!

Czy szlalcice (kiedy piją),
Muszą zaraz mieć i w
głowie?
Nie; szlalcice, moszandzieju,
Tylko sobie — dobrze żyją.

Ja pan z pana, ja i w głowie?
A to hańba — moszandzieju,
Aby szlalcie, co się zowie,
Miał coś więcej jak —
mózg w głowie!
As.

Teraz.

(Cedź przez nos i złyj się czasem.)

Ja pan z pana, ja herbowy,
I pracować? to za wiele!
Niech pracuje motłoch owy,
Co nie nie ma — oprócz
głowy!



Czy pan jesteś spirytualista czy materyalista?
Ja, pani, jestem — kancelista.

Mnie używać, mnie kochanki,
Dłużej zrobić honorowy,
Mnie zakładać nowe banki:
To interes dla mej
głowy!

Zresztą radzić w Wiedniu,
w Peszcie,
Zmyślić jaki projekt nowy
Dla ojczyzny—kolejowy:
Oto pokarm dla mej
głowy!
As.

Szarada.

„Pierwsza“ plynie z wiosną
w morze;
„Druga“ ostrzedz ciebie może;
„Trzecia“ pyta przyczepiona
Do słów innych. W końcu
„czwarta“;
Choć nie wiele sama warta,
Jest połówką słowa „żona.“
„Cale“ niegdyś wydymało
W dolnej części strój niewieści,
Lecz dziś tak już zeszczuplało,
Że nie wiedzieć, gdzie si^ę
mieści?

Rebus obrazkowy.



(Rozwiązanie szarady i rebusa będzie w pierwszym zeszytcie czwartego rocznika „Strzechy.“)

Z nowym rocznikiem „STRZECHY“ rozpocznie się nowa powieść J. ZACHARIASIEWICZA: „NOĆ KRÓLEWSKA.“

➡ Premia do czwartego rocznika „ZYGUNT i BARBARA“, utwór Jana Matejki. ➡